



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

A 471819





PR

ARTES

ARTES

NA SKALNEM PODHALU

II

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SP.

Tetmajer, Kazimierz

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

NA SKALNEM
PODHALU

II

PIERWSZY TYSIĄC

WARSZAWA
NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1904

891.858
T347na
1904
v. 2

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

POEZYE I. Wydanie nowe.
POEZYE II. Wydanie trzecie.
POEZYE III. Wydanie drugie.
POEZYE IV. Wydanie drugie.
ANIOŁ ŚMIERCI. Wydanie trzecie.
MELANCHOLIA. Wydanie drugie.
OTCHŁAŃ. Wydanie drugie.
PANNA MERY.
WRAŻENIA.
NA SKALNEM PODHALU I. Wydanie drugie.

Slavic Lang
Paulowski
5.28.54
87159

Pani Filipinie hr. Castell-Ruedenhausen
mojej tłómaczce niemieckiej
(I. von Immendorf)
z wyrazem najżywszej wdzięczności
i wysokiego szacunku.



PRZEDMOWA.



Nowelle w części pierwszej niniejszego tomu zawarte, są podobnie, jak w pierwszym tomie »Na Skalnem Podhalu«, snute wyłącznie z mojej własnej wyobraźni. Tak samo, jak uprzednio, wszystko, co pochodzi bezpośrednio z ust ludu, czyjeś powiedzenie charakterystyczne, pieśni oryginalne, autentyczne opowiadania: odznaczam bardzo szczegółowo; zwroty i opowiadania wymieniam w przypiskach, pieśni kładę w cudzysłów.

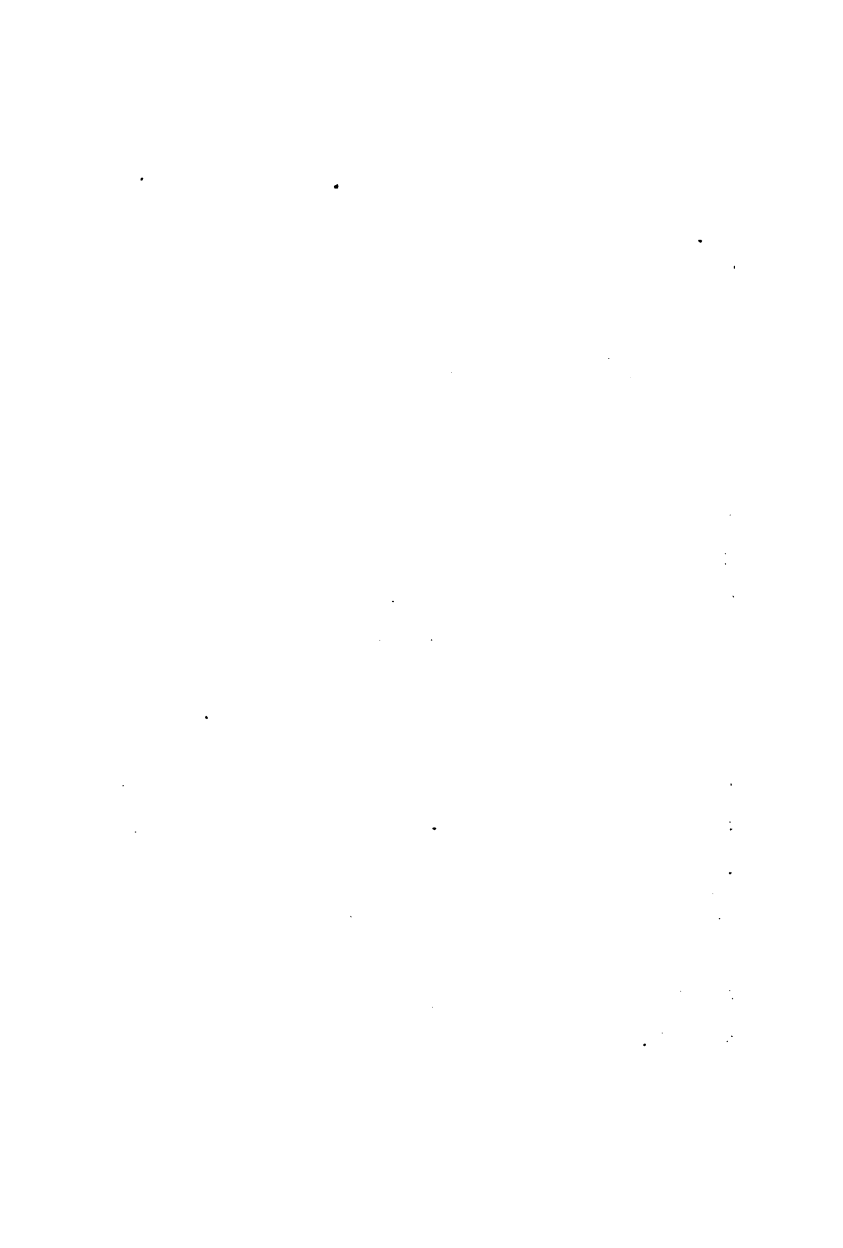
Drugą część książki stanowi parę wyjątków z oryginalnych opowieści podhalańskich, spisanych przez gazdę Jędrzeja Su-

leję z Kościelisk, który je od starych ludzi, głównie od niejakiego Komperdy, około 110 lat liczącego Kościeliszczanina, sły-
szał, a które dałyby spory tom druku.

Opowieści te powinny być wydane we właściwej drodze, zachowują one bowiem choć w części staroświecką literaturę chłopską, ginącą do szczętu, w pamięci ludzkiej. —

Kraków 24 listopada 1903.

CZĘŚĆ I
NOWELE



O BARTKU GRONIKOWSKIM
RAUBSZYCU

I*



Miał Bartek Gronikowski z Bukowiny »swoje« dziesięcioro przykazania, choć ik ta tak do znaku niebyło dziesięć.

Jam jest twój las, cobyś po mnie chodził, ka ci sie fce.

Nie bedzies wzywał leśnego nadaremno, ba go zaros śrutem po kolanak.

Pamiętoj, abyś nigda przez dźwierza du domu nie prziseł.

Nie požadoj ani scygła, ani wilgi, ani mysikrólika z cudzego lasu, ba ino to, co sie na plecy biere.

Robsicuj, ale tak, coby cie nie hycili.

A oprócz tego wiele on miał porzékadeł — i tak:

Na swoim nabij — na cudzym zabij.

W cudzym lesie strzelić — w chałupie sie dzielić.

Z chałupiny w worceek zarno — do ha-
łupy z tęgom sarną.

Nie tego dźwiierz, co go licy — ino
tego, komu kwicy.

Telo baba, co i dźwiierz — ino, ka
trza, dobrze miierz — — i wiele podob-
nych.

Inni strzelcy się też od niego tych
przysłów uczyli i tak sława jego nie-
tylko jako myśliwego, ale i jako poety
rosła.

Bartek Gronikowski urodzony to był
robsic, czyli kłusownik. Nie duży, suchy,
lekki, lotny, jak ptak, gibki, jak pstrąg,
chytry, jak lis, a zażarty do zwierzyny,
jak ryś. Nawet podobny on był do rysia
z ruchów kocich, bo kiedy choćby po
gościńcu na jarmark szedł, to tak lekko,
jakby się bał stąpaniem co spłoszyć,
a oczy, co mu bystro na wsze strony la-
tały, widziały, zdawało się, w gąszcz le-
śny na trzysta sążni.

Nic Bartek poza strzeleckom robotom nie chciał znać, chyba z musu. Wiosna, lato, jesień, zima — co tylko mógł czasu wolnego od gospodarstwa dopaść, było co strzału warte, czy nie było — hybaj do lasa z flintom! Czasem gó i dwa i trzy tygodnie baba w domu nie oglądała.

Ale choć koziarz był tęgi, najlepiej on lubił po lesie gazdować za sarnami, za zającem, za lisem. W turniak wesoło, ale widno — mawiał. Dopiero w las kiedy się zaszył — tam jego życie, uciecha.

Każde zioło znał, każdy gatunek mchu, a lasy od Trsztyny na Orawie po Kiezmarm na Spiżu, od Gewontu po Gorce nowotarskie. Już on tam nigdzie nie zginął. Taki węch miał do lasu, jak wilk, albo i pies. Wyplątał się wszędy.

A las to był, las!

Koło Nowego Targu, koło wsi rąbywali, ale po pod Tatry chyba tyle, co na opał w zimie po krajach. Po pod Ko-

szystą, po pod Wołoszyn, po pod Holicę i Kołowy nikt go nie ruszał. Drzewa rosły z drzew, smreki, jodły, buki, jawory, a pomiędzy tem maliny dzikie, głogi, je-rzyny, płątowiska wybujałe, gęstwiny, ostrokoły, sieci i wiązadła roślinne, paści, w których się usidlić było można, za-grząść w zbutwielinie, w zdradnej spró-chliźnie, w zgniłych mokradłach, zdławić się w zwiłanych, ugibających się a prę-żnych pręciach, gałęziach, konarach, choi-nach, które się uginały pod naciskiem, ale nie dały rozerwać, tylko chwytały w elastyczne sploty, wkręcały w siebie i otaczały, jak węże duszące.

Tam było życie Bartka Gronikowskiego, tam jego uciecha!

Darł się między drzewa olbrzymie, mchami orosłe, jak niedźwiedź, przesuwiał się po pod gęstwiny, jak lis, przesadzał kłody zwalone i leśne potoki, jak jeleń, wietrzył lasem, jak wilk, spinał się na

jodły, jak żbik, a kołysał się na wierzchołku, jak orzeł. Strasznie on to lubił: strzelbę wsunął po pod kamień, albo wepchnął w chuściaki, a sam i bez potrzeby na smreka, albo na jodłę wlaź i dopiero się ztamtąd patrzył. Koło niego las, las i las... Wierchowce tylko drzew, tu ostro strzelające czarne, gęsto zbite smreki, tam rozłożyste zielone buki i jawory, opłynęło go to w krąg, jak morze... A ponad lasami hale, upłazy jasne, szerokie i wierchy powyżej jeszcze strome, wyniosłe ściany krzesanic urwistych — — i wyżej jeszcze obłoki — — i wyżej jeszcze niebo... Tak się na smreku, albo na jodle czasem i pół dnia przekołysał Bartek Gronikowski, a czasem i pół nocy, jak sęp. Patrzył do światu i pływał se po lesie oczyma, ze lepi i łosoś pletwami nie potrefi. A las albo stał cicho, jak zaumarły, albo się kołysał i szumiał, a wtedy kołysał się z nim wraz w je-

dną i w drugą stronę Bartek Gronikowski na smreku, albo na jodle, podawał się za wiatrem i odginał wstecz i okręzał go szum i unosił, że lepi woda w Morskiem Oku łososa na sobie nie huzio do słonka.

A wiatr chodził kołami. Czasem po jednej stronie lasu było cicho, po drugiej się drzewa w półkrąg pochylały, jak kiebyś kosą zajon. I czasem las cicho stał, a zdaleka leciał szum, coraz bliżej, aż ogarnął drzewa i popłynął po nich, jak jastrząb piersią i skrzydłami nisko po kłosach, kiedy ptaki łowi. Kłosa się uginają, a on z szumem polata.

Kiedy słońce jasno świeciło, że się zdawało, iż wiatr świecący leci, albo kiedy złota radosna cisza leżała na przestrzeni, wówczas Bartek Gronikowski wdychał w siebie woń lasu, ostrą i rzeźwą, i tak mu było, jakoby pluca skrzydeł dostajały. Takbyś pedział, że ci hnetki

z ciała wylecom i na skrzydłak śmignom.
Ono sie wej i zoładek lekcejsy robi
w człowieku, kiedy go tak wyhuzio na
jedli, a zawonie mu las. Hej nimas to,
jako las, na syćkie biedy.

I on ci wej syćko tak, jak basy ku
gęšlom. Smutno ci — on ta tys nie, we-
soły; radeś — i jemu nie markotno. Ci-
hoś — choćby sumiał, to tak jakbyś
go nie słysał; śpiwos se — ej, juz i on
głośny, choćby ciho stał. Takie ci to
wej, jak sekunda muzyce; na jakim nute
zamyślis, on tys ta hnet za tobom. Ja-
koz go wej niebedzies rad widział? Dy
ci ani baba, ani dzieci telo nie przyhlé-
biom. Ka ta!

Turnie som nie jest takie, abo i woda.
Jakiesi to jest mocniejse, jako człowiek,
nie fce mu sie przyhylic — — ale
as! Teloz by ci kołyskom był, abo łóz-
tem!... Ono by ci tys i po śmierzci no-
pi w nim było. I za truchłe by ci był,

jesce jakom! i modlél by sie nad tobom. Truchła przestrono, zywicno, robaki by cie nie zjadły, ba niedźwiedz, wilk, honorny dźwiérz, a i dusa by sie radowała odlatujący, ze cie ta do bodaś jakiego, hoć ta i święconego dołu nie rucom, ba se bees leżał jako jawór, kie mu juz kornienie zetlejom, abo go wiater praśnie, wolnemi piersiami ku niebu, hoć i nie zywy.

* * *

Znał Bartek Gronikowski zwierzynę leśną, jak jego baba pięć swoich gęsi przy domu. Do bodaj czego on nie strzelał, a nawet obyczaj strzelecki chował, że kornych samic szczędził, na porę dość uważał. Chyba, że już bieda w chałupie przycisnęła, jeść się chciało (na Bukowinie, wiadomo, ziarnko kłoska nie dogoni) — wtedy już nie wybierał. Sarna, zając: to

to był jego najczęstszy strzał; do jelenia strzelał ze trzy razy, ale nigdy szczęśliwie. Mało było wrodnioków, trudno było i trafić na niego. Kozic nie rachować, już i dzików ze dwa i niedźwiedzi coś pięć położył, była uciecha w domu, jedzenia długo, skóry się sprzedawało — to był najlepszy strzał.

Kiedy Bartek Gronikowski miał już zwierzynę w torbie, sarnę albo zającą, kiedy już był spokojny: to się dopiero lubił przypatrywać zwierzęcemu życiu. Więc godzinami przypatrywał się dzikim kogutom, czyli ciężrzewiom, albo głuhanom, czyli głuszcom, które osobliwie za Tatrami od południowej strony około Krywania, po za Wołowiec, po skoruszynach, po jałowcach, po maliniakach siadywać lubią, strzegąc się orłów i jastrzębi z góry, nie dowierzając też kosodrzewinie i gąszczom leśnym, z których podkradały się rzutny ryś, zdradna kuna, krwiożerczy, podstęp-

pny lis i straszny, niespodziany jak piorun wypadający żbik. Tam roztaczały one swoje przepyszne pióra, ogony w dwie strony rozgięte, skrzydła barwiste, wspaniałe, tam toczyły z sobą wojny, rzucały się, jak oszalałe, na poddające się samice i brały je pod siebie, jeżąc się całe w zapamiętałej namiętności miłosnej; tam wygrzewały się one w słońcu, jakby oślepiłe blaskiem. Tam żerowały po upłazach dzikie gołębie, śmigłe i ostrożne; zrywały się z furczeniem jarzabki i dzikie kaczki, wielkie, ciężkie krzyżówki i mniejsze, ściglejsze cyranki, przypadały na młaczyska i mokradła po pod doliny, w bujne trawy, albo sterowały po jeziorkach. Indziej, w Roztoce, wiedział on o gronostajach białych z czarnymi ogonkami, które wyslizgiwały się z pod kamieni, ostre pyszczki i bystre oczki wysuwając naprzód. Nieraz przerwał on celnym rzutem kamienia, albo i strzałem pogoń kuny za nieszczę-

śliwą wiewiórką z drzewa na drzewo, kiedy rzuca się ona z cukaniem, rozczapierzając ogon, na ledwo chwytnie gałązki. Wiewiórki miłował on nadewszystko. Już kiedy ją na drzewie zobaczył, gotów się był bez końca przypatrywać: jak ona się po pniu spina, po gałęziach przechadza, tu skręci główkę, tam się obejrzy, siędzie, ogonem się nakryje, jak baba spodnicą na deszcz. Szyszkę w łapki — dopiero weźmie łuszczyć, łupiny ciskać, ziarno gryźć. Uciecha! Zastrzelił ich Gronikowski, ale tylko kilka, kiedy młody był i do bodaś strzału gorący; chował także parę w domu, ale mu tego żal było, to puścił zawsze po czasie. Tak i dziecięcioły lubił, szpiegował je przy robocie, jak ogonem do drzewa przyparte, kują zapamiętałe w korę, albo, osobliwie na wczesną wiosnę, pogwizdując, jak piszczałki, między gałęzie nie szybko przelatują.

Gdzie się sojka zadarła — słuchał; gdzie drozdy zadzwoniły — przystanął. Nie dla samego też ich cudnego świstania nieraz; gdzie drozdy ku końcu marca, w początku kwietnia gwizdzą, tam często słonka ciągnie. Rzadka ona w Tatrach i trudna do strzału na tle gór pod mrok wieczorny, ale przecie ich trochę Bartek dzieciom do chałupy przyniósł. Ale to był taki strzał na zabawkę, kiedy bardzo dużo prochu w rożku było. Najczęściej to sobie tylko legł gdzie pod smrekami, zawabił na gębie, a potem słuchał, jak chrapią.

Lubił patrzeć wieczorem, zwłaszcza gdy mu się zdarzyło z wyższą patrzeć, jak w samotną pustkę u jego stóp, w stalowy zimny mrok gór leci puhacz, ogromny ptak na puszystych skrzydłach, podobny do widma, które złowrogo wróży. Patrzył za nim, dopóki nie znikł, z jakąś trwogą zabobonną w sercu i patrzył

za nim jeszcze w pustkę, jakby się tam coś stać miało.

I do kóz kiedy się podkradał, a bać się nikogo nie potrzebował, o strzał mu też na gwałt nie szło: to patrzył, jak się po upłazkach pasą, jak po turniach łążą, po urwiskach, po krawędziach, po spaszach chodzą, że się zdaje, już gdzie niema racicy wszczyrbić. I dopiero wereda pogląda w dół, w przepaść przeokropną, jakby skrzydła miała, a to ma tylko nogi. Albo na skałkę wyskoczy, że ledwie cztery nogi w kupie zmieści, i tak stoi i poziera naokoło, a gwizdże przez nos, jak co zobaczy, albo zawietrzy. Widział Bartek Gronikowski, jak się od orła kozy bronią, zbijając w stadko, jak koza broni kozłęcia sobą zastawiając, jak podskakuje ku niemu z rogami, widział, jak czasem młoda, ale już za ciężka, aby ją mógł unieść, a silna kozica, pędzi z grani na grań z przyszpilonym do jej grzbietu

szponami orłem, tak szybko, aby mu się skrzydła w tył wywinęły od pędu i aby ją puścić musiał. I nieraz się zdarzyło Bartkowi zastrzelić kozę, która miała bliźny w bokach od takiego chwytu.

Nieraz on i niedźwiedziowi patrzył blisko w oczy, kiedy ten na zadnich nogach stawał, kufę rozwierał i ślepiami jarzył, widział też, jak poza siebie między zadnie nogi ogromnymi kamieniami, kłodami drzewa, co złapie, ciska. Ryś postrzelony koło Siwego Wierchu na Orawie rzucił się na niego z cisowego konaru, tyle dobrze, że go Bartek na lufę strzelby w skoku podchwycił i tą lufą odbił. Skoczył jeszcze ryś z ziemi, ale już był słabszy i tylko mu ramię przegryzł i pierś podrapał. Potem padł, był mocno strzelony w brzuch.

Strzelby miał Bartek Gronikowski pochowane w różnych miejscach. Pod Wołoszynem, niedaleko Wielkiej Siklawy z Pię-

ciu Stawów miał dubeltówkę, pod Rohaczami miał drugą; dwie pojedynki rozmaicie jeszcze indziej. W strzelbach się kochał i jak jaką zobaczył, a zwidziała mu się, ostatnie ciele był gotów sprzedać, a strzelbę kupić. Babie tłómaczył, że inaczej nie może być. Przyjdą na niego donosy z Węgier od grafów Salamonów, albo ze zakopiańskiego dworu przyjdzie rewizya, a tu jednej strzelbecki, jednego kapślika w domu nie masz!

Jest tylko klucz, co z niego dzieci strzelają... Strzegą na niego hajduki po drogach, a on sobie idzie z fajką w gębie i ciupagą w garści, jak sołtys białczański, albo wójt z Poronina. Przecie go nikt niebędzie rewidował, że ma w opasku z prochem róg, we woreczku kulki i śrut, jaki kto chce, zajęczy, kaczy, kapśliki przy nich, worek płócienny na zwierzynę z pożywieniem na trzy, cztery dni pod czuchą. Idzie sobie i tyle,

do lasu po gałęzie na opał, albo za interesem. Ale przecie raz idzie w jawoworzyńskie lasy na Spiż, raz w zuberskie w Orawę, jakżeby to było, żeby tylko jedną strzelbę miał? Musiałby więcej po nią latać, niż z nią. Jeszczeby się i piąta przydała. Jest śliczne miejsce na schowanie w Hlińskiej Dolinie, pod samym Hrubym Wierchem — dziura pod skałą między smrekami, żeby i człowiek wlaź, a nic jej nie widać. Sucha też taka, jak ziemniaczana nać...

Kiedy tak mówił, baba tylko wzdychała ciężko. Miłowała ona swoje cielęta, miłowała płótno, co je sama tkła, ale zaprzeczyć się nie dała, mało kiedy byli oni bez mięsa w domu, bez stuki, hasen s tyk strzelbów bęł... Ale przy tej piątej, a była śliczna dubeltówka, jak oko, to się już Bartek zmiłował nad nią; nie sprzedał jej ani cielęcia, ani płótna, tylko przesiustał za dubeltówkę pług, nowiuteńki, i piętna-

ście desek, co mieli niemi pobijać dach
na szopie, bo ciekło.

* * *

Kiedy Bartek Gronikowski na polowa-
nie szedł, zawsze ukląkł przed domem
i pomodlił się pobożnie, a o dwie rzeczy
Pana Boga prosił: żeby mu ze zwierzyną
szczęścił i żeby mu dał szczęśliwie spot-
kać leśnego od grafów Salomonów z Ja-
worzyny, niejakiego Dobrowolskiego ro-
dem z Lipnicy Murowanej, Polaka, który
za węgierską granicą do służby przysłał.
Miał on do niego złość wielką, a to z tej
przyczyny, że go leśny podejrzewał i tro-
pił i choć nigdy Bartka ze strzelbą nie
dojrzał, zawsze na niego, jako na najgor-
szego raubszyca wskazywał. Raz się tak
zdarzyło, że Bartek na węgierskiej stronie
strzelił do rogacza, a Dobrowolski strzał
usłyszał. Choć Bartek i strzelbę i rogacza


dobrze schował i dopiero na drugi dzień w nocy po niego sobie przyść obiecywał, a sam obleciawszy wilczym pędem kawał lasu i przeskoczywszy graniczną między Węgry a Polską wodą, z chrustem na ramieniu ku domowi szedł: Dobrowolski, którego strzał przywabił, kręcił się, kręcił, aż Bartka z chrustem spostrzegł, wodę przeszedł, jak był w butach, i ku niemu. Bartek nie uciekał, bo się czuł na swoim i niechciał tem większych budzić podejrzeń.

Dobrowolski zdejmując dubeltówkę z ramienia, mierzy — stój!

Bartek stanął.

Dobrowolski do niego: tyś strzelał! coś zabił?! gdzieś schował?!

Bartek się zaklina, że nie on, przysięga się, żeby mu tak obie nogi w ziemię wrosły, — (w takiej opresji Pan Bóg dobrze wie, że człowiek inaczej postąpić nie może) — przysięga, żeby tu trupem padł, na swojego patrona i świętą Magdalę,



co mu na myśl przyszła — Dobrowolski nie wierzy. Porwała Bartka złość, że mu nie wierzy, kiedy się tyle przysięga, bo przecie samym Świętym nawet ubliża, których on na świadectwo bierze. Jakże to może być, żeby kto człowiekowi nie wierzył, kiedy się na swojego patrona i świętą Magdalenę przysięgł?! Krzyczy więc ze złością, że kto tu ma prawo do niego, kiedy tu nie Węgry, tylko Polska — i szarpie się. A Dobrowolski: że on mu pokaże Polskę i Węgry, buch go kolbą w plecy, chłop był okrutny, Bartek nie duży, związał mu ręce powrózkiem, buch drugi raz kolbą w plecy, w łeb, marsz za wodę i pognał go do Lewoczy, do sądu. Burzyło się w Bartku serce, że mało nie pękło, bo choć był winny, to jednak Dobrowolski, który go na strzale nie złapał, bezbronny zobaczył i przysięgającego słyszał: powinien był go za niewinnego mieć. Całą drogę Bartek z tego stanowiska wy-

chodząc, z najgłębszym wewnętrznym przekonaniem, że tak powinno być: o swojej niewinności krzyczał i dowodził.

Tymczasem zaś Dobrowolski tłukł go kolbą, a ponieważ w sądzie w Lewoczy Bartka dla braku dowodów uwolnili, odprowadził go do granicy i znowu tłukł, ile chciał, tak, że Bartek blisko miesiąc wstać z łóżka niemógł, bo mu ciało ledwo od kości nie odpadało i dziury miał w głowie.

Nie uwierzył mu, obraził przez to, areztował za granicą; bez prawa, do Lewoczy gnał, pobił i poranił, o chorobę i kosztą przyprawił, lasu na czas pozbawił: poprzysiągł Bartek Dobrowolskiemu zemstę i to nie béle jakom! Postrzelić go, albo zastrzelić — coż to znaczy? Z jednego się wykuruje, od drugiego zaraz zginie, ani nie będzie wiedział kiedy. Nie mógł się Bartek takiej zemsty odżałować, którą wykonał już na jednym strzelcu liptowskim, co mu dwa capy w okropną słotę i z nie-

słychanym trudem upolowane, kiedy Bartek na śmierć znużony, przy nich usnął, ukradł. Dojrzał go Bartek z daleka i zapamiętał. Trzy dni się po górach nawłóczył, nic spotkać nie mógł, deszcz i grad go bił, ze śniegiem się urwał w Cubrynie, dobrze do stawu nie wjechał, ledwo życia nie pozbył, aż mu wreszcie Pan Bóg kozy nagodził i to tak, że od dwóch strzałów z dubeltówki dwa capy spadły. Ale duch się już ledwo w nim trzymał — a ten się podkraść ku śpiącemu i ukradł. Byłby pewnie i strzelbę zabrał, tylko że ją Bartek w ręce przez sen dzierżył. Ej! Przy samej ziemi! Kiedy go Bartek w dwa tygodnie później na uboczu pod Tomąnową Węgierską zobaczył — kiedy się nie złoży, nie gruchnie! W samą głowę mierzył i w samą głowę trafił. Ale cóż — znalazł się jak głupek. Liptowski strzelec nietylko się nie spostrzegł i nie zmartwił, że umiera, bo czasu na to nie

niał, ale nawet nie wiedział i tego, kto go zabił, bo Bartka nie widział.

Ćos to telo wypłacić komu? Tak, jak nic...

Leśnego Franca Horwatha i hajduka Bunkosza z za smreków postrzelił, zabić nie chciał, tylko śledzenia za myśliwymi oduczyć, puścił im śrut po nogach — wyleczyli się; Bunkosz za służbę podziękował, zląkł się, ale Horwath jeszcze zażartszy potem był. Przepędził też kulkę przez ramię jakiemuś leśniczemu z Kokawy, co go przy sarnach spłoszył i strzelił za nim — chciał trafić prawda w szyję, ale nie trafił — ale cóż to wszystko było? Byle co — a z Dobrowolskim musiało być nie bodaś jako! Tu trzeba było czegoś dokonać, co hej!

I czekał na sposobność, czekał siedmnaście lat.

Aż wypatrzył przypadkiem, że Dobrowolski w lesie pod Holicą na wążkiej

pérci zastawił oklepiec na niedźwiedzia i codzień tam wieczorem podchodził spojrzeć, czy się zwierz nie złapał. Chytrze się Bartek podkradł rano, ciężki kłot drewniany od oklepcza odciął, a żelazo przewłókł w gęstwinę na pérc, w inne miejsce pod niską turnię i zakrył tak, żeby śladu z niego nie było, Nie prawą, to lewą nogą musiał się Dobrowolski chwycić.

Takom sobie podnetę sam przigotował.

Legł za turnią w borówniaku i czekał. Kiedy pora, iż Dobrowolski mógł iść, się zbliżyła, Bartek gorączkowo szeptał: Boże daj! coby sie dopod! ej Boże! daj, coby sie dopod!

I tak się stało. Przerażliwy, nagły krzyk zwiścił Bartkowi, o co Boga prosił.

Cicho, jak kuna, która się na zająca skrada, wczolgnął on się na turnię i wyjrzał z za głazu. Dobrowolski, jęcząc straszliwie, schylony w pół, usiłował wcisnąć

między żelaza, co się mu w łydkę zębami wcięły, lufy od strzelby, aby je rozważyć.

— Tuś! — szepnął Bartek.

I jednym rzutem, jak ryś, na capa, spadł na grzbiet leśnego.

Nim się ten opamiętać zdołał, wydarł mu strzelbę z rąk, wyrwał kordelas z pochwy i precz odrzucił.

Poczem sam odskoczył i wyciągnął krucicę z za pasa, bo strzelbę na turni zostawił, i wymierzył mu w piersi.

— Panie Dobrowolski, teroześ mój! — rzekł.

Dobrowolski zbiełał i wargi mu się trząść zaczęły. A Bartek mówił: Przisiejdze, hoćjek sie na swojego patróna i na samom świentom Magdalene przisieńgoł, wierzyć eś nie kcioł, niewinnego mnie, cyk ta bół winny, abo nie, to lo tobie jek był niewinny, do Lewocyś gnoł, kolbomeś mie biół — is teros! Cos bedzie?

Nie pomogły prośby i zaklęcia leśnego. Hej! jesce byś mie kie ty dopod! — odpowiedział i straszną rzecz, o której, przywlekając w to miejsce oklepiec, myślał, wykonał. Grożąc leśnemu krucicą ręce mu związał, »moze samo tém powrózke, co on mu wte«, i ku olbrzymiemu kopcu wielkich czarnych mrówek go podwlekl, poczem do drzewa przytroczył, a usta ziemią i błotem zatknął i szmatą przywiązał.

— No teraz ze se haw stój do rania, kim cie towarzisia sukać pudom, panie Dobrowolski z Lipnice Murowanej. Jesce ta jaki wilcosek tym mrowcom pomoze. Bądźmy zdrowi! Is, jo cie ta niebedem kolbom śturkoł, boś przecie nie bydle, ba cłowiek.

Uklonił mu się kapeluszem i poszedł.

Przed świtaniem, kiedy się podkrađł w to miejsce, aby Dobrowolskiemu, gdyby jeszcze żył, łeb obuchem ciupagi roz-

kruszyć, znalazł go ogryzionego do kości, znać, że nietylko przez mrówki, ale i przez wilki. Prawie nagi krwawy szkielet zwisał na postronkach w rozkopanym i rozrzuconym kopcu, z jednym piszczelem w czerwonych od krwi żelaznych obręczach oklepca, którego zęby aż się w kość wpiły.

Rozwarł Bartek oklepiec, szybko go na dawne miejsce odwłókł, kłot przywiązał, nastawił go, jak trzeba. A Dobrowolskiego szkielet zostawił, gdzie leżał, nic nie ruszył, pieniędzy, co miał przy sobie trochę, nic, tylko odrobinę tytoniu węgierskiego do macharzyny przesypał i prochu tak na trzy strzelenia z rogu do rogu. Potem przeżegnał szkielet i hip! do lasu, duchem gnał, aż się wieczorem nad Orawicami w reglach zatrzymał i zaraz, strzelbę schowawszy do wsi zeszedł, niby to za zakupnem gęsi, bo tam cho-

wali ich dużo i ładne. Radby był fajnego gąsiora nabyć — szukał..

O nic się nie bał. Sądy się ani pytać nie będą. Wilki leśnego zjadły, pod noc sam w pustki chodził. O nic się nie bał, Bo i Panu Bogu bardzo ufał. Nie tylko, że mu On Dobrowolskiego w oklepiec wprowadził, ale jeszcze i wilki zesłał, które go zjadły tak, że ani szlaku znaku, co się zrobiło. Pan Bóg z nim!

* * *

Nigdy Bartek z powodu Dobrowolskiego snu niespokojnego nie zaznał. Sumieniowi zadość uczynił, Pan Bóg mu przy Dobrowolskim pożegnał, pobłogosławił, a duchów się też nie lękał. Té duhy, co po lesie, abo po holak hodzujom — mawiał — som nie jest zawzięte. Zwiedzie cie, pokłamię cie drógami, cobyś hnet i przepod ka, zestrasy cie, to hej,

jele coby sie ta zaś miało mścić, ścigać cie, jako té, jako ik to nazywajom, upiory, to nie. Ba na smentorz w nocy nie hodź, ale pocoz byś hań i seł? Strzyłoł na smentorzu, choć sie ta prowda i hań dziwaśka zajonc, abo liska trefi, nie bedzies, bo zawdy wsi blisko i grzych. A co w holak, abo w lesie cłeka byś zabiéł, to mozes spokojnie hodzić. Gonił cie po śmierzci nie bedzie. Dyj tu nie jeden strzelec, jako i Tylka z Dzianisa trzok Luptoków na spaniu obuskem zabiéł, a bez to jesce dwaścia rók po polowacce hadzał. To ta nic. A jesce jak sie sprawiedliwie pomścis na kim — e, ani nie patrz po za sie!

Co rozmaite duhy, strasoki po Tatrach, to som jest. Wsęděj ik pełno, nie trza sukać. Mało sie ci zadrzimie ka w dolinie, ka pusto: oho! jus ci sie zło krew obzywo. Abo ci łańcuche zezbérce nade głowom, abo ci ocy tak zasuje, jakoby ci sydzkie

gwiazdy do nik spadły, abo jako by ci złotem zaprószył.

Dużo dziwnych rzeczy Bartek Gronikowski w górach doświadczył i opowiadał nieraz.

Ale co najcudniejszego ludzie od niego słyszeli, to historię o dzikim człowieku, choć niewiadomo: dziki to był człowiek, czy waryjok?

Idem raz późnom jesieniom, śnieg przykurzował, bez Hale Królowom dołu, koło potoku — capu niózek tęgiego na grzibiecie, co jek w Granocie zabił — patrzem, ono sie cosi plusko we wodzie. E kis ta dyabli, co sie teraz kąpie, kie pokurzuje i zimno? Nablizom sie — we wodzie człowiek z góralska odzioty, wieńce na nim z choiny, z kosódrzewu, z seli-jakiego ziela. Nie kąpie sie, ino cosi we wodzie suko. Nablizytek sie jescze więcyl — jo sie go ta nie bał, strzelbe miótek w gotowości — on hip do lasa. Jo

za nim. Uciók mi na kwile, skrył sie między smrecoski młode — patrzem po kwili — jest je! Stoi, patrzy do mnie. Jo ku niemu mierze, krzyce mu: stój! bo bedem strzyło! — jele ino tak na śpas, bo cosbyk ta mioł do niego strzyłać. On stoi, zobziéroł mie, ocy miał wielgie, i obzywo sie ku mnie, tak bez pól mówięcy, bez pól kieby śpiéwoł, tak: Ozgrzesys mie? Ozgrzesys mie? Serce woda niesie po zielonym lesie — serce woda wziena wodzicka studziena, tocy po kamieniak, tocy po strumieniak — kasi sie pod skałą krwawą rybką stało... Ozgrzesys mie? Ozgrzesys mie? — i zaś znova jako przódziej. Jo stoł i słuhoł, to tak dobrze ze trzi razy mi przepedział, w rzecy prześpiéwał, cok sie wej, nieprzymierzający, jak paciérza piéknje wyucél i do siela bacem. Nieroz to sie mi wej i w nocy przyśnije, abo sie mi tak samo od siebie zbacy, ka w lesie, abo

przy orbie w polu, cy ka inéndyj. Ozgrzesys mie?... Ozgrzesys mie?... A tak załośliwie śpiéwał, co jaze luto było słuhać. Jo do niego gwarze: ozgrzesem cie, ino podź ku mnie. Myślem, waryjok, trza na jego nute ś nim. Fciałek go do wsi na Bukowine przywieść, niek ta ś nim pote robiom, co uwazom. E — nie idzie. Pojdze, podź! On nic. Wyjonek kawołek oscypka, cok go mioł w tórbce pod boke, pokazujem mu — nic. Jesce sie cofie ku lasu. Wzionek, ruciłek...

Cafnon się jesce więcyl. Popatrział na mnie tak, jakoby sie co dobrego ode mnie spodziéwał, a ja kiebyk sie nie nazdał, co on fce? Patrzi kwile i powiada: Jo do tobie hlebem, a ty ku mnie kamieniem, ja do tobie krwią, a ty ku mnie ślinom! — I patrzem, hyce on hałązke ze ziemie i przezegnoł mie. Jo rzeke: je cozek ci zrobiéł, coś sie pogniéwoł? Jesce mie zegnos! Jele on do

lasa i przepod. Jo nie seł za nim, bo mi cap ciężał, a capu na dzikiego cłowieka siustał nie bedzies, bo cłowieka nie zjés. Haj. Zginon mi. Kasi sie ta jesce w lesie obezwoł, je ale jek nimóg uznać, co mówił. Juzek go pote nika nigdy nie spotkał. Słysołek później z pastyrzy, w Pańscy, ze go mieli widzieć, ale zuciekali, bo sie go złękli. Jo sie go ta nie bał. I posukowołek go nawet kieniekie kiek w ténta strone zaseł, ale darmo. Kasi sie beskurcyjo straciła. Młody bét, nie béło mu nad pięć dwaścia lot. Odzienie miół z góralska, ale widno béło po mowie, ze je nie tutejsy, ka od Krakowa, abo z kainéndyj. Taki ci sie wej i cudok trefi w lesie. Ono by cie wej hnet i ogłupić zdolało. Hej! las, to je nie plotka....

* * *

Pewnego razu rozchorował się Bartek na łożnicę, na tyfus, po którym mu na czas jakiś jakby nogi odjęło i z półtora roku w lesie nie był. Martwił się o strzelby, że się ordzew chwyci, głód był w chałupie, ledwie wytrwał.

Nakoniec wyrwał się do lasu, ku Holicy, gdzie najszacowniejszą dubeltówkę schowaną miał. Znalazł ją, oczyścił, oskrobał, nabił i ruszył dalej w głąb — gdy straszliwy jego oczom przedstawił się widok, a stało się to tak nagle, że zdawało mu się w pierwszym wrażeniu, iż na oczy jego padł czar. Oto cała ogromna przestrzeń lasu leżała wyrąbana. Pookrzesywane z konarów drzewa leżały, jak okiem sięgnąć, zwalone.

Instynkt pchnął Bartka wstecz: cofnął się w gąszcz ze strzelbą.

Jak przed wężem jadowitym począł uciekać. Obleciał po pod Holicę, po pod Szeroką Jaworzyńską, uciekał od tego strasz-

nego miejsca; gdy ku Żabiemu, prześwieciło mu coś nagle między gałęziami, i znowu wielką przestrzeń zwalonych drzew zobaczył. Więc począł uciekać wyżej, a teraz już zdawało mu się, że na każdym miejscu otworzyć mu się może ten straszny widok. Zrozumiał, że tak może być. Pierwszy raz w życiu nie wiedział, jak biec, zatrzymywał się, wahał, bał się w lesie...

Pierwszy raz Bartkowi Gronikowskiemu z Bukowiny stało się w tatrzańskich lasach ciasno...

Las aż ku samemu Rybiemu Jezioru wszędzie był cięty. Zaszył się więc Bartek Gronikowski w gąszcz i legł na ziemię. Język mu zsechł, oczy go piekły. Nieznane uczucie rozpacznej trwogi ogarnęło go. Nuż usłyszy tuż za sobą stuk toporów, zgrzyt piły i trzask walących się smreków... Co przyległ głową ku mchom, śmiertelnie znużony i z sił opadły, dzwigał ją i nadśluchiwał... Goniła go pusta,

łysa przestrzeń. Jasne słońce, które na wyrębach zobaczył, napełniało go obrzydzeniem i wstrętem... jego, co się do słońca mógł i pół dnia gdzie w pustkowiu kołysać na wierchowcu drzewa...

Już nie było pustki w Tatrach. Nie juhasi, co tam kilka miesięcy przegazdowali po halach; nie strzelcy, jeden koło Lodowego na Spiżu, drugi w Pośrednim Wierchu od Liptowa, trzeci we Wołowcu ku Orawie; nie leśni, tak sam samo rzadko rozsiani — ale jakieś potwory zagęściły się w lesie, w odwiecznych, wiekuistych puszczech, niszcząc je i tępiąc gorzej ognia i wichru halnego. Bartek Gronikowski drżał i kurczowo strzelbę ścisnął w rękę. Już nie on był na polowaniu, ale na niego polowano, i to nie jakiś Horwath, czy Dobrowolski, ale ścigała go, tropiła łysa, pusta przestrzeń, ścigała go przekłete, straszliwe »Widno«, polował na niego »Świat.« Bartek Gronikowski na pod-

stęp miał podstęp, na kule kulę, wobec rąbania lasów uczuł się bezwładny: »skończył się!«

Nie wiedział, czy tak jest, ale widział w wyobraźni walące się, lub powalone już pod toporami potężne smreki w Koprowej Dolinie, szumiące rozłożyste jawory pod Rohaczami, jodły śmigłe za Siwym Wierchem, za Syndlowcem. Całe Tatry, wszystkie lasy tatrzańskie mogą już tak leżeć, pnie obok pniów, konary gałęzie w kupach, tylko oduziomce zostawione bielą się, bielą z ziemi, bielą do słońca, jak martwe kości.

Skończyło się...

Wiatr, co szumiał od wierchów i kołysał ponad nim smreki, wydał się Bartkowi jakąś straszną pełną żałoby muzyką, jakimś pogrzebowym śpiewem cmentarnym.

Pierwszy raz zasmuciło się Bartkowi Gronikowskiemu serce przy wianiu wiatru.

Nad lasem przeglądały turnie Żabiego,

nagie, twarde i strome. Złość go na nie porwała. — Hej! Dobrze wam tam, wysoko! — krzyknął ku nim z podniesioną ręką. — Wtoz wam hań co zrobi? Nie pudzie was we worku znosić do młyna mleć! Ale las!...

I tak już będzie zawsze — jutro, pojutrze, za rok, za dziesięć lat, za trzydzieści — bo nim tam smreki ścięte odrosną... Hej! Nie docka nik!...

Straszliwe, złowrogie, zgubne dla Bartka »Widno« spadło na lasy tatrzańskie z łoskotem toporów i pił, jak powódź z hukiem na pola zasiane. Zostanie pustka, pomarlisko...

Siedział Bartek pod drzewem, o pień plecami wsparty, i lamentował w duszy. Strzelbę trzymał w rękach, lufami do siebie, jak bezużyteczne narzędzie, jak rozbitek na łodzi sznury od steru, który bałwan zgruchotał.

Zapadał mrok. Wiatr pociągał ku jezioru.

Wtem zachrząściło i zaszeleściło coś w gęstwinie i naprzeciw Bartka, o kilkanaście kroków, wynurzył się z gęstwiny jelen. Wiatr szedł od niego — nie czuł.

Staął. Począł się wpatrywać w Bartka, któremu mrok zataił kształt, a który siedział nieruchomy pod smrekiem, jak zaumarły.

Zaś Bartek Gronikowski spojrzał na jego wspaniałe rogi i szeroką pierś, kiwnął ku niemu lufami strzelby z rąk i ozwał się żałośnie: Cos teraz s nami bedzie?...

Jeleń zawrócił się na miejscu i skoczył w gąszcz.

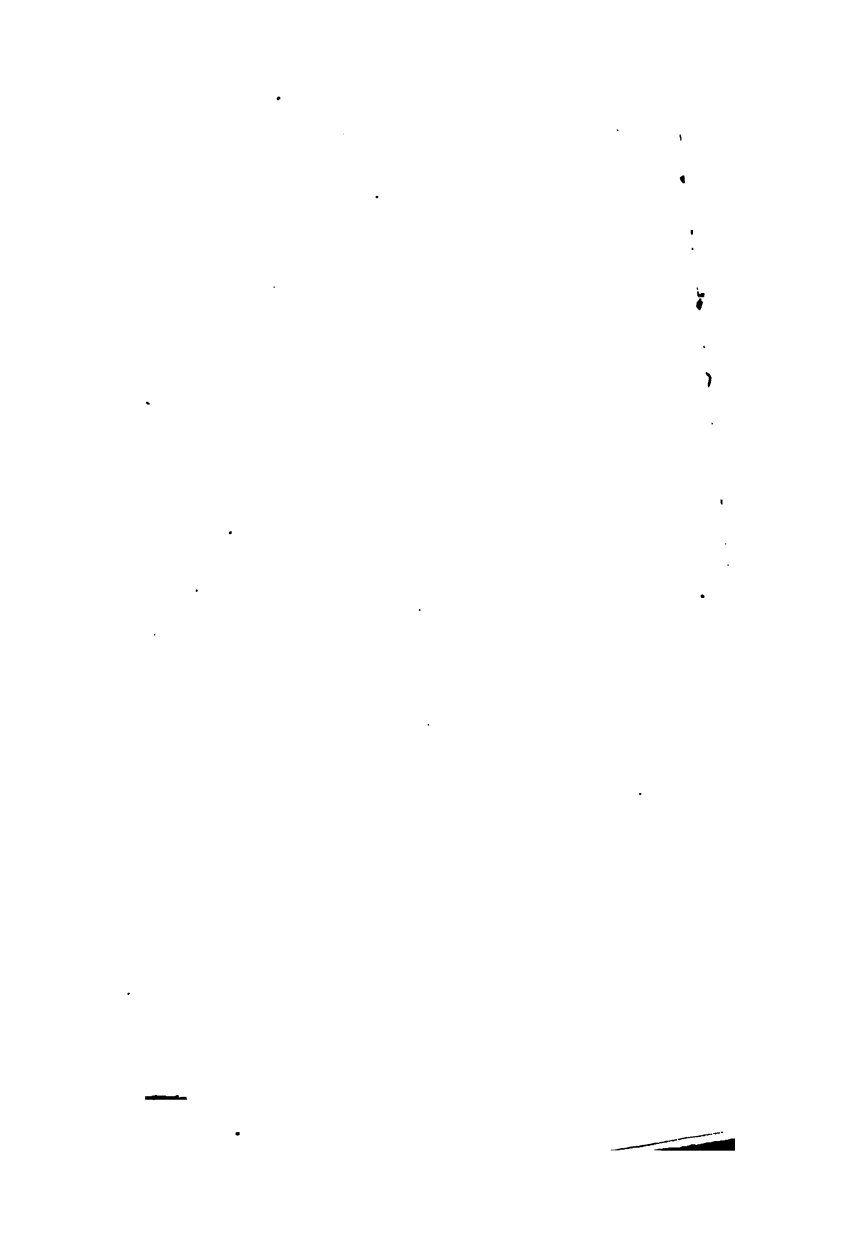


PRZYPISKI.



- ...porzékadeł — przysłów.
- ...huściaki — gąszcz.
- ...huzio — chuśta.
- ...ka ta! — gdzie tam.
- ...hasen — zysk.
- ...pérc — ścieżka.
- ...przesiustał, siustał — zamienił.
- ...kim — nim.
- ...studziena — zimna.
- ...kasi — gdzieś.
- ...do siela — dotąd.
- ...nie nazdał się — nie domyślił się.
- ...ordzew — rdza.

Plątowiska, zbutwielina, spróchlizna, pomarlisko nie są góralskimi wyrażeniami; uformowałem je, wyobrażając sobie, jakby mogły brzmieć, gdyby w góralskim języku istniały.



JAK UMARŁ JAKÓB ZYCH



Pewnego pogodnego rana w grudniu Jakób Zych rzekł do swojej żony Katarzyny z Zegleniów od Janika:

— Do dziśkak żył, a dzisiok umrem.
Działo się we Witowie.

Kiedy tak rzekł do żony, ona odpowiedziała:

— Ej nieboze, nieboze!
I westchnęła.

— Kaśka — rzekł znowu Jakób Zych — wyżytek godnie węcyl, jako dziewięćdziesiąt roków, moze trzi, abo pieńć.

Ona westchnęła znowu.

— A tobie bedzie blisko osiemdziesięci. Nie béło ci jak siedemnoście, kiek cie brał. A mnie béło pono trzidzieści, abo mało co mniej, abo mało co wysój.

— Ej nieboze, nieboze!...

— Nie fciałaś sie wydać za mnie, zek stary.

— Hej, hej, Boze!

— Ale cie prziniewolili, zek bęł bogaty.

— Hej, hej! Boze...

— Płakałaś.

— Hej, hej!...

— Dobrze cie ojcowie nie bili.

— Hej, hej!...

— Boś bęła jedynica i nie biédno, to ci sie widziało chodź co.

— Boze!... kie to ta...

— Ale jo pedział: jak mi dacie Kasie, to wom spłacem cały dług u Janików, a jak nie, to wos podpole. Bo jo mioł dudki.

— Hej, hej!

— Miołek dudki jesce po dziadku, Symónie, co piniondze kasi na kościół we Węgrak pokrod i swoje własne, cok je z Węgiek prziniós.

— Hej, hej!

— I maturek miał i zdatnyk bywał.
Byłbyk podpalił, jako jamen w paciérzu.

— Hej, hej!

— I tak mi cie dali, choć jek ta taki
nomłodszy ku tobie niebél...

— Ej nie, nie béleś...

— A tobie sie widział Józek Huciański,
co sie pote od zolu dał w lesie
drzewu przywalić.

— Hej, hej! Boze!...

— Młody bél. Niemiał jak dwadwaścia
roków. Ładny bél.

— Hej, hej!...

— Wiés, kielo to temu lat?

— No?

— Kopa i trzi, abo pieńć.

— Hej, hej!... Boze...

* * *

W południe Jakób Zych już się tylko samego mleka trochę napił, a potem legł na pościel i już nie wstawał.

Przyszedł do niego jego kumoter, ale o wiele młodszy, Franciszek Gombos.

— Niek będzie pokwalony. Co ta słychno? — rzekł wchodząc. — Ludzie godajom, kumotrze, ze bedzicie umierać.

— Niegze będzie na wieki. Witojcie, kumotrze — odpowiedział Zych z posłania. — Ludzie godajom prowde.

— Cy sie wam jako dało poznać?

— Od rania cujem. Zarozek ucuł, inok sie zbudził. Siednijciez.

— Ono to wej trza. Dziś ty, jutro jo.

— Ej wiera, trza, trza.

— Wcora sie wam dawało pocuć?

— Wcora? Nie. Jaze dziś rano. Inok sie obudził, jesce nie świtało, zarozek wiedział, jeze ona juz nie prec — śmierć.

— Nie prec...

- Co robić?... Długok żył.
- Długo. Mało wto dziś tak.
- Dziś mało, ale prędzej bywało tak, co i sto roków zwysył, dość.
- Ba, drzewiej béło nie tak.
- Bajtoć! Twardo nie robili i grule nie gniły. Dwaścia rók miał, to jesce krowy pas, w długiej kosuli — hłopiec! I nie bedzie ci taki długo żył? Hę?
- Ba, ba! — przyświadczył Gombos.
- Nie sył mu tu nik portek, jaz sie zénił. Doktorów nijakik nie znał tu wtedéj nik. Ale tu nie umar ino tén, co musiał. Nie tak jako teroz...
- Ba!
- Syćko béło ine. Wóz. Dołes za wóz nowięcyl osiemnoście cwancygierów, hej, to cie przeżył. Prowda! taś nie uświacył w nim klińca, zelaza, ba bosak. Ale ta prec nie jezdzowali, to ta pobył.
- Pobył, pobył...
- Nie sukoł haw do niego nik zadnej

kołomazi, ani smarowidła. Jechał, a pocon mu zgrzypiec, e, to wbiel grzyba w koło i obyrtalo sie.

— Cosby nie... Wiera obyrtalo.

— Prędzej nie tak bywowało. Krzest. To kie ta juz barz źle béło, je to zaś i same baby ukrzciéły z wody, i béło. Bo ta z tego hodzenio do kościoła tys duzo nie béło, nie, hodźta i zaśli. Kie béł zima, mróz ostry — pod strzeche z niekrzconym nie wlezes, bo boginki na kumosce zaroz jadom w usyp, pod zwonami w babińcu tys nie ostawis, bo i hań najdom! Ba wcion kumoter ciupage w węgieł i s torbom zawiesiel małego na niej. Kim ta zapisali, kim sie ta kościelny obuł, ksiądz odział: tén jus na węgle spał twardy, jak senk. Zamarz.

— Tak, tak bywało.

— Ale sie ta nik nie zabijał za nim. Wtedéj go ta trohe zol béło, jak bél hłopic i miol palce dlugie, bo by bél

na bace, owce doić i na gajdak grać, dobry.

— Ej ha!

— Dali ksiendzu siane dwa dudki: zaśpiewał, pomodlił się, hej! sowali i posli du domu.

— Hm, hm!

— Cołke inacój downo béło. Dał cłek na Suhejgórze dwa dudki siane za funt soli — ale béł funt! Nie wozył ta nik na mińcérzu, nie ściskał! Béła woga drewniano: na jedném końcu wanta, hej, jak łeb! To béł funt!

— Hej, hej! Tak wej ono bywowało, downo, tak.

— Ba... Ale przesło...

* * *

Po południu się zrobiło Jakóbowi Zychowi słabiej. Przyszła stara Tylkula, zama-wiaczka. Starsza ona jeszcze podobno była



JAK UMARŁ JAKÓB ZYCH

się kumoter Gombos z przekonaniem. —
Władze On, władze.

— Dyj władze, wiem — rzekł Jakób
Zych — ale nie tak, jak ludzie myślom.
Kogo mierzi, ze sie ta jaki Bartek pobiął, abo
jaka Kunda przespała od Staska, e, to jus
i Pana Boga musi mierzić. Bajto!

— A cosby to grzyhók nie béło? —
rzekł kumoter Gombos z opozycją.

— Jest — odparł Zych.

— Sąd Boski strasny — rzekł Gombos

— Strasny, prowda — odparł Zych. —
Niebo sie bedzie gionć, a ziemia trzesceć.
Janiółowie na trąbitak grać bedom, a góry
i hale bedom sie ozwalować od głosu. Wtej
sie ta nik nie uhyli, ani nie wykrenci.
Ale Pon Bóg mądry, wie, ze hojby wto
haw nie dziesięć, ani nie piętnoście, ale
i pieńdziesiont, i sto roków cosi kajsi ona-
cél, brojeł, to zaś co sto roków, to nie
wiečność, co Spiska Turnia, to nie Tyl-

kowe Kominy. Cyjsca sie bojem, piekła nie.

Rzekł kumoter Gombos delikatnie, ale z wewnętrznym własnym sądem i wiedząc, że mu nie będzie przeczone na końcu myśli:

— Padocie, kumotrze, jeze sie piekła nie boicie — jakos? cyby go miało nie być, cy jak? Ale kazby dyabły siadały, jak by go wej nie béło? Ady dyabły przecie jest.

— Jest — odpowiedział Zych — i se-linejacie. Som Belzebuby, Astaroty, jazerni, jest dyabły polne, wodne, leśne, hałupne, coby ludzi kusiły. Krzizem świentym sie im trza oganiać, bo sie go bojom. Strzegom na cłowieka wsędyl. Dy ik i haw w izbie pełno bedzie, sej sto, abo i tysionc.

Wzdrygnął się kumoter Gombos, a żona Zychowa zaszeptała: Raty Boskie! Ponjezusicku noszodsy, ratuj tyz! Maryjo Panno!

Zych mówił dalej: — Dyabły kusom i trapiom. Straśnie som jest źli i zawzięci, wiera o to, bo od stworzenia świata prógujom jakom duse ludzkom do piekła wewléc i jesce zodnej nie wewlekły, ani nie wewlekom, bo im mądrość Pana-Boska nie do.

— A dy ksiendza inacyj godajom z ambony — rzekł Gombos.

— Niegze ta. Ksiendza wiedzom, podla cego jako godajom. Mozom gadać, jako fcom — odpowiedział mu Zych.

— Ej! Oni ta wiedzom — rzekł Gombos.

Odezwała się żona Zychowa: — Dyj sie ucom na to w séminaryi.

Popatrzal na nią Zych mądrze i powiedział:

— A wtoz ik hań ucy w téj séminaryi? Pon Bóg, cy ludzie, samo tacy, jako i my?

Umilkli kumoter Gombos i żona Zychowa.

* * *

Później dzieci, wnuki i prawnuki, co byli na miejscu, nie po świecie, zeszli się do izby Zycha, który miał umrzeć, aby go pożegnać. Myślał on o czemś widocznie i od czasu do czasu wodził zbieletemi ze starości, gasnącemi oczyma stuletniego sępa, po obecnych, jakby między nimi szukał, wybierał. Kilka już razy tak oczyma przewiódł, a zawsze najdłużej się patrzył na Staszka Tylkę, syna swojej najmłodszej córki, Wikty, najulubieńskiego wnuka, chłopca już dorosłego, pięknego, rozumnego, silnego i męźnego na podziw. Potem rzekł:

— Idźcie sytka do pola, a Stasek Wikcin niek haw ostanie.

Wszyscy wyszli.

— Stasek, pojd-ze haw ku mnie —
rzekł.

Staszek zbliżył się do pościeli dziadkowej.

— Słysz, dziecko — mówił Zych —
wybrołek tobie, boś mi ostomilsy ze syć-
kik i widzisz sie mi nojfajniejszy. Śmiałyś?

— Abo co?

— Mocnyś?

— Kozdego prasnem.

— Słuhajze. Koło kaplicki świętego
Jana pod Nowym Targiem, skoro piérse
słońce na niebo wyhodzi, dokiela cień
od kaplicki na trowe padnie, hań som
jest sowane piniondze w kotliku, co my
ik z Józkem Smasiem, z Łuscykami Ja-
skrawemi, Józkem i Staskem i s twoim
dziadke ojcowistym, Morcinem Tylką,
za Tatrów przynieśli i hań zakleni.

* * *

Ku wieczorowi zesłał Jakób Zych do znaku. Wtedy rzekł do żony:

— Staro! podź.

Żona ku niemu podeszła.

— Przehél sie.

Przechyliła się, a on ją objął w ręce za ramiona i pocałował w oba lica; tak też i ona jego.

— Bydź zdrowa, staro!

— Ej Kubuś, Kubuś!

— Ej Kasiu!

— Boze cie prowadz we wieczność.

— A bądź tobie, Kasiu, na pomocy przy skonaniu.

— A tobie, Kubuś, przim do kwały niebieskiej. Jamen.

— Tak i tobie, Kasiu, kiesi. Jamen.

— Jamen.

— Jamen.

Dzieci, wnuki i prawnuki, starzy już chłopci, siwi, stare już baby, posiwiałe, mężczyźni w sile wieku, kobiety w kwie-

cie lat, niektóre z dziećmi przy piersiach, młodzież dorosła, dzieci podrosłe i nieletnie i drobne, skupili się przy łóżku Zycha, a on im błogosławił. Potem powiedział: Ostompście się — i wstał o swojej mocy. Tak, jak był, legł był na łóżku w kyrpcach, w portkach, w pasie, tylko guńkę zrzucił — i tak wstał i opierając się o ramiona i piersi tych, co go otaczali, poszedł, chwiejąc się, powoli ku oknu. Widno było Czerwone Wierchy, Kominy, regle witowiańskie, smrekami staremi porosłe, odwiecznym lasem, i polany pośród nich, wielkie równie śniegowe. Czerwone słońce świeciło na górach, jak ogień i na niebie zamarzałem, jak ogień gorzało. Wtedy rzekł Zych: Niedźwiedź śpi, cas i mnie. Ostańcie z Páne Boge, wy turnie i hole!

I postąpił parę kroków wzdłuż ściany, opierając się o nią ręką, ku półce, na której leżał jego stary zbójcecki nóż,

o krzywem ostrzu kończystem i z trzema bulkami mosiężnymi na końcu, zrobił nim trzy krzyże w powietrzu i trzy razy się nim przeżegnał. Potem schylił się, wsparty o stół ręką i zrobił końcem noża na podłodze krąg wokoło siebie. Wszyscy się ustąpili popod ściany. W tem kole się położył, rękoma się wspierając o podłogę, na wznak. Leżał chwilę, przymknął oczy, westchnął kilka razy i umarł.

* * *

Na trzeci dzień do trumny go kładli, z jodłowych deszczek zbitej. A do trumny dali mu fajkę, krzesiwo, spinkę bardzo starodawną do koszuli i obrazek zbójcki na szkle malowany, czem się najbardziej za życia cieszył.

Nie szła za trumną żadna procesya, za włótkami z trupem, bo kościół był daleko, a śniegi wielkie i kopne. Włożył

najstarszy syn osłony na włóki, w osłony trumnę, opasał się powrósłem, wziął ku sobie siekierę i widły żelazne, siadł na trumnę, przeżegnał się i ruszył. Pilno patrzył, aby się koń gdzie wilków nie spłoszył i trumny z osłon nie wyrzucił, aby z niej co nie wyleciało, bo pamiętał dobrze, co ojciec nieboszczyk nieraz powiedział: — Kie wiezies trupa, a włożom mu do truchły, co wto za zycia rod widział: fajke, tabak, korunke, abo i obrozek jaki, niek cie Bóg broni, jakbyś mu co stracił, ténby ci doł! Stanie na hmurze, to siem ról gradem wybije. Wracuj sie i sukuj! Musis! Niek se ta mo.

Tak umarł i tak na pogrzeb wieźli Jakóba Zycha z Witowa.



PRZYPISKI.



- ...jedynica — jedynaczka.
- ...dudki — pieniądze (dudek właściwie 2 centy).
- ...mature — temperament.
- ...sajne — dawna stopa monetarna; sajny reński
tyle co 40 centów.
- ...mińcérz — waga.
- ...wanta — kamień.
- Opowiadanie o dawnych czasach jest wzięte z opo-
wiadań Sulei, słyszanych od Sabały.
- ...Co jo mom z pahołke gadać etc... — wyrażenie
Sabały.
- ...ozesute — rozsypane.
- ...Smasiowi — patrz I serya »Podhala«.
- ...zywinie -- bydłu.
- ...przespała się — miała dziecko nieślubne.
- ...Spiska Turnia — teraz Lodowy.
- ...za Tatrów — z za Tatr.
- ...koło kaplicki etc... — autentyczne.
- ...dokiela — pokąd.
- ...zbojceki nóż o krzywem ostrzu etc... — tak we-
dług opowiadania Sulei miał umrzeć Sabała.
- ...a do trumny dali mu etc... — z opowiadań Sulei.
- ...za włókami — za sankami.
- ...osłony — deski, w których się nawóz wozi.





ORLICE

**(Ponieważ kwestya ta obila mi się kilka razy o uszy,
nadmieniam, że „Orlice“ nie są oparte na żadnem
ludowem podaniu).**



Był chłop z Poronina, nazywał się Kuba Kopiński. Powiadali o nim, że mu nigdy deszczu nie trza, chyba w zimie. I prawda, że nie wiadomo, czego miał więcej: czy pola, przez które woda szła, czy wody, co szła przez pole?

»Kubie strasznie w powódź śmiało — mawiali chłopci — woda mu ta sama sie nie bedzie brać«. Lał deszcz, to mówili: »Kubie gazdostwa przybywo«. Jechał z pługiem, żartowali: »Uwazuj-ze, byś co ka gruntu nie zahycieł, bo pług popsujes. Kuba jedzie wode orać, bedom pstrongi rosły!« Szedł z grabiami, to zaś znowu: »Jesce tys takiego nie bywało, co łososie grabiami hyce«. Idzie Kuba z motyką: »Hej: idzie Kuba banie brać, bedom miały lipienie ka zimować!« Jedzie wozem dra-

biniastym: »Hej! by ci nie wyciekło! Racyj se putnie weź!« I takie inne.

Wodny Kuba go nazwali.

Gniewało to Kubę i bolało, te śmiechy ludzkie. Ale ludzie jak ludzie. Takie to jest, jak i psy: wlezie między tłuste miejskie owczarski, albo gdzie ze wsi: dalej wszystkie na niego! Ani go jeden nie będzie bronił; najlepiej, jakby go tam jeszcze z drugimi nie targał. A i to nie z miłosierdzia, tylko będzie leniwy, albo stary. Inaczej nie jest, ani nie bywało.

Bolało to Kubę i gniewało, a i bieda dogryzała. A jeszcze kiedy mu córki dorosły, trzy córki, jak topole: Róża, Ulka i Wikta — ani to temu co do gęby włożyć, ani oblec po ludzku. Matka tego żalu i wstydu nie miała, bo przy ostatniej, Wikcie, zmarła. Wychowało się to nie wiedzieć nawet jak? Ulce było dopiero dwa lata, Róży trzy. Na kozim mleku wyrosło — ej! baj to! jacy na wodzie!

Ale ród to ród. Kopińscy byli chłopcy, jak buki, takie też i Capkule, co od nich żonę wziął. Baby jak wrota. Kiedy ci którego Capka dziewczka stanęła we drzwiach, nie próbuj przejść: choćbyś głowę pod ramię schylił, koło biodra się nie przecisniesz. Spodnice to jaze podskakowały na nich w chodzie; młodzi mówili: od radości; starzy: od tęgości.

Zębami gwoździe kruszyły, a na siłę dobry parobek musiał być, żeby go za pasy o ziem nie prasły. Prawda, że za pasy zawsze chłop mięknie, a baba twardnieje. Ale przy dźwiganiu, przyszło snopki na wóz wykładać, albo na stodołę ciskać, to się dało widzieć. Silne były Capkule.

I robotne i obyrtne i ładne. Na żony jak ulane. Ale będzie ci kto biedną dziewczynę brał? Chyba głupi, albo sam dziad, co mu innej nie dadzą. Zeszły się wraz dwa dziady, nie trza nijakiej rady — powiadają.

Kopińskiego dziewczki prawie były Capkule: silne, robotne, zwyrtnie i ładne. Tylko że w posagu miały kamieńca trochę, lasu nic, pola z półtora morgu, a i to jeszcze lada co, budynki żal się Boże, wody ile chcieć, po dwie koszule, po dwie spódnice, po jednej zapasce i szmatce na głowę, a na trzy jeden kozuch po matce. W zimę tylko jedna mogła wyjść. Będzie ci kto taką brał?

Nigdzie też nigdy nie szły, ani na wesela jakie, ani na zabawę do kogo — nie miały w czym.

U Wodnego Kuby zawdy wesoło — żartowali ludzie — dziewczki nie potrzebujom nika lecieć. Dość se w doma udrypcom kie zimno, a na brzuchak se przigrawajom. (Że to im w próżnych brzuchach grało).

Nikt ich też nigdzie nie prosił. Kto i dziada rad widzi? Dziad i dziad.

Często też na Kopińskiego dziewczę

które po matce Capkulami zwano, zamiast Capkule, wołali: dziadule. Płakały.

Siedział Kuba koło wody pod brzegiem, blisko Galicowej Grapy, w pustce. Domu naokoło nigdzie. Las — ale cudzy, gazdowski. Pawlice, Chowańce, Galice, Pary: to to byli gazdowie. Chowali niejeden po kilkanaście krów, kilkadziesiąt owiec, po trzy, cztery konie. U Kopińskiego krowy nie było; jedna koza.

Dziewki się w lecie żywiły grzybami, jagodami, co po reglach zbierały. Ale w zimie, na wiosnę — raty! Po dwa i trzy dni nic do gęby, prócz odrobiny mąki, wodą rozbeltanej. Jak raz Ulka ukradła u Pawliców kawałek placka owsianego, to było święto.

Rosły — powietrzem i wodą — dziko, jak jodły w lesie. Miesiące czasem człowieka nie widziały z blizka. Choć Róży było dwadzieścia lat, Ulce dziewiętnaście, a Wikcie siedmnaście: nikt ku nim nie szedł,

żaden parobek. Chude były, nędzne, nieodziane, smutne. Choć ładne. Róża miała włosy czarne i oczy czarne jak iskry; Ulka i Wikta włosy jasne i oczy siwe, także jak iskry. Kości miały smukłe, bujne, ale ciała na nich nie było, nie miało z czego rosnać. Nie łakomił się na nie nikt.

One też tak, jakby woli Bożej nie czuły. Takie dziewczki o czymżeby radziły? O parobkach radzą. Ale tu — trzeba było o głodzie i o zimnie radzić, żeby z głodu nie umrzeć, od mrozu nie umarznąć. Nie chwyta się wola Boża w takiej kondycyi.

Ucła się w końcu Kubie ta bieda, a i śmiechy ludzkie — Wodny Kuba! Wodny Kuba!... Siem skaranie!

Jednego dnia, w jesieni, już z hal zegnali co kto miał, mówi Kuba do córek: Jadłyście co dziś?

- Borówki — odpowiedziały.
- Fce sie wam jeść?
- Fce.

Pomilczał Kuba trochę.

— Zol by wom béło tej hałupy —
mówi.

— Abo co?

— Jakby my sie ś niej ka wynieśli?

— Ka?

— Ze ka we świat.

— Ka?

— Na hléb.

— Ze kazby to?

Pomilczał znowu Kuba chwilkę.

— Dziewki! — mówi po chwili.

— Co?

— Zabiercie ze skrzynie, co ta jest
i ka ta co. Jakie smacisko, abo płótno.
Zróbcie węzełki.

— Pódziemé ka?

— Pudziemé.

Pozbierały, co było.

— Tatusiu! — mówi Wikta — We-
znem ten obrozocek po mamie niebo-
zycce.

I zdejmuje obrazek ze świętą Genowefą z nad pościeli.

— Weż — powiada Kuba.

— A jo se weznem siekiére — mówi Róża.

— A jo koze — powiada Ulka.

— Ka pudziemé?

— Ino podźcie.

Wyszli. Zapał Kuba drzwi od chałupy. Obejrzał się za nią — westchnął, splunął i machnął ręką.

— Podźmé.

Poszły dziewczki za nim.

Prosto w brzeg, za wodę, w pola. Na Pardółówkę, z Pardółówki w bór, w regle, po za regle w Tatry. Białą Wodę przeszli, po nad las, po pod Zielony Staw, ku Żelaznym Wrotom. Rano było, jeść się ogromnie chciało, nie było co z domu wziąć, borówki tylko po drodze skubali.

— Tato, już nimogem dalej przez je-
dzenie — mówi Wikta.

— Cos jo ci dom?

— Ka to pudziemé, tato? Hań, w skole?—
mówi Ulka.

— Hej.

— Zej haniok ani borówek nimas —
mówi Róża.

— Nimas.

Umilkli.

Koza się pasie na trawie; miele w zę-
bach.

Wstała Róża z ziemi, bierze siekiere,
idzie ku niej — łup ją w łeb obu-
chem.

Padła koza, ani ziła.

Poderżnęła jej Róża gardło ostrzem.

— Tato! krzeście watre — mówi.

— Koze es mi zabięła — woła Ulka.

— Dyjby tamok i tak nie wysła —
odpowiada Róża i, pokazuje na turnie.

— Luto mi będzie za niom — mówi Wikta.

— Koza bęła moja — mówi Ulka.

— Taka twoja, jak i moja! — odpowiada Róża.

— Ale jo jom z domu zajena!

— Bęła naska, wspólna!

— Ale jo jom wiedła!

— Ale jo jom zabięła!

Zrobiło się cicho; strasznie dziko krzyknęła Róża.

— Nie kces jej to jeść, ino tata watre słozom? — mowi po chwili Róża i bierze się skórę łupić.

Zacięła Ulka usta, a Wikta płacze.

— Dobrze Róża zrobięła — odzywa się Kuba, który tymczasem chróst na ogień zbierał — joby jom som bęł zabięł. Aniby hań nie wysła, ani jeść nima co.

— W te turnie pudziemy?

— W té.

- Coz hań?
- Węgry, Luptów.
- A hań?
- Bedziemé patrzeć.
- Pudziemé na robote? Służyc?
- Jo wos nie na to howoł, coby-ście między ludzi sły.

Kozę ze skóry obdarli, co upiekli część zjedli, część ze sobą zabrali. Pierwszy raz dziewczęta mięso jadły.

— Smakowała ci štuka? — pyta się Róża Ulki.

Ulka usta zacina, a Wikta mówi:

— Ej, juz nam nie bedzie becała! Zjeść jek zjadła i jesce bedem, ale mi jej zol.

— Hej, dziecko! — odzywa się Wodny Kuba. — Kieby cłowiek fciał syc-kiego załować, co nie jest tak, jakoby miało być, hnet by morze wypłakał.

Westchnął, splunął i ruszył naprzód.

Z głązów w kosodrzewinę, z kosodrze-

winy w skały, przyszło po żebrach nad urwiskami po pod Litworową Turnię iść, zdawało się, że skała z pod nóg ucieka.

— Tato! — woła Wikta — Widzi sie, co odpadnem!

— Nie patrz dołu pod siebie!

— Ej! Kiela tys to hań przepaść! — woła Róża i patrzy w dół.

— Pazdury sie fcom pięknie pozurować! — woła Ulka.

— Dzier-zcie sie! dzier-zcie sie! — napomina Wodny Kuba. — Bo wtora by haw durkła dołu, na prag sie zetre!

— Tak mi sie widzi, ze juz nóg ni-mom! — woła Wikta. — Jakobyk leciała w powietrzu! .

— Śmierć pod tobom! Nie patrz pod sie!

— Hej! Hej! Joj! Jak leci! — woła Róża, strąciwszy nogą głaz.

— Jak warcy!

— Ozbiel sie!

-
- Kiela to urwa za nim!
 - Jak hucom!
 - Jak dudniom!
 - Turrr!
 - Is! Is! Woda!
 - Staw!
 - Jak sie świeci!
 - Kielo to słońca na nim!
 - Tato? Tato! Wicie? Staw!
 - Widzem.
 - Ka je ta w dole!
 - Zywy byś nie dolecio!
 - Ino sie cérni a świeci!
 - Wiatér od niego pociągo. —
 - Nie od niego, ba z turni.
 - Tato! Tato! Icie?! Kozy! Kozice!
 - Ka?!
 - Hãń! Haniok! Hore patrzcie! Ka
 - tén upłazek! Tako płasienka zielono!
 - Widzem! Widzem!
 - Zje ka? Kaz som jest?
 - liii — hi — heul...

— Widzem! Widzem i jo! Ej wiera!
Zénom tyz!

— Iiii — heu!

— Ino sie piarg kurzi!

— Jedna, dwie, trzi, štiry!

— Pięc, osiem, seść, jednościel!

— Be z pietnaścioro!

— Abo więcyl!

— Be trzynoście!

— E dy my ik już więcyl nalicyli!

— Jedna dwaścicia — ozwał się Wo-
dny Kuba.

— Is! Is! Jedna dwaścicia!

— Przepadły w turniak!

— Teloz by ik nigda nie bęto!

— Tak i z błogosławieństwem Boskiém
bywuje — rzekł Wodny Kuba.

Z żeber skalnych w upłazy, w zleb —
po piargach, po rumowisku szli ku prze-
łęczy.

— By sie haw przynomni głowa nie
zawraco — mówi Wikta.

— Tamoj sie widziało, co trza bedzie gwołte dołu odpaść — mówi Ulka.

— Skrzidła by sie béły przidały — mówi Róża.

— Cos to przy tym na smreka wy-léść!

— Abo na jedle!

— Sto smreków by trza postawić jeden na drugim.

— Tysionc!

— Moze sto tysięcy?

Wyszły na przełęcz.

— Tato! Rany Boskie! Cy sie mi śnije?! — woła Róża.

— Luptów!

— Cos to hań? To białe?

— Miasta, dziedziny.

— Kiele pola!

— Jak hań jasno!

— Nigda u nas tak jasno słońce nie świeći!

— Kiela rówień!

— Na lewom renke Spis, na prawom
Orawa.

— Kiele lasy!

— A haniok? Góry?

— Niżnie Tatry.

— Wyse, jak naskie?

— Nise.

— Kieli świat!

— Anibyś nie pedział, ze taki moze
być!

— Hej! Wielgi je tyz!

— Syrzyć! Zdłużć!

— Piékny je tyz!

— Hej, Panie Boze! Ze tys piékny!

— Wesoły!

— Jaz radość!

— Hań pudziemé? Dołu?

— Bedziemé patrzeć,

— Iiii — he — heu!...

— Ginie głos.

— Strasno pustka w koło.

- Kiele to turnie nad nami!
- Jak kościoły!
- Tędyj ino mozo przeńść?
- Nié. Więcyl takik przełacek w Polskim Grzebieniu.

Pojedli znowu koziny.

Wiedział Wodny Kuba o Batyżowieckiej Dolinie i o kolebie w niej, bo tam, młodym będąc, jedno lato owce liptowskiemu gaździe pasał. Dawno. Wykręcił z pod Żelaznych Wrót po za Batyżowiecki Szczyt, uniżywszy się ku Kończystej, nad stawek mały, co tam leży, przeszedł grań; skiełznęli na dół po ścianach. Słońce zapadać miało niedługo. Cała dolina liptowska poczęła się zalewać tak jakby połączanemi fiołkami słońce prószyło. Gęsto.

Znalazł Kuba kolebę; niedaleko stawu.

- Hawok bedziemé nocować, tato?
- Hawok.

- A jutro pudziemé dalej?
— Bedziemé patrzeć.

* * *

Noc i dzień wypoczywał Wodny Kuba ze swojemi dziewczkami. Już się i kozina poczęła kończyć. Po drugiej nocy rano popłoch się zrobił w Batorywcach, we wsi. Z trzody, co się pasła po pod Tatry, zginął wół. I popłoch jął się szerzyć po okolicy. To kupca wędrownego coś napadło w lesie, zabiło i obrabowało, to się do wsi, albo i do miasteczka podkrađło i zabrało, co mogło, to z trzody ginęły woły, krowy, owce.

Kto?! Co?!

Zbójniki z Polski spadły z za Tatrów na dziedzinę, obrabowały karczmę, albo dwór, albo ukradły byczka — i uciekły, zkąđ przyszły, ale to siedziało w miejscu. Gdzie?

Już się i zimno zrobiło, a to siedziało. Grabież, mord spadały, jakby je turnie wyrzucały z siebie i znowu w siebie wchłaniały. Okolica musiała drżeć — Batoryżowce, Gerlachowce, Mięguszowce, Poprad, Sławków, Czorba.

Tymczasem dziewczęta Wodnego Kuby nabrały ciała, poubierały się w nowe koszule i spódnice, a w kolebie był schowek między kamieniami, umyślnie wyrobiony, w nim miedź, srebro, złoto, korale.

— Juzby my i gazdowstwo kiele tele kupili — mawiał Wodny Kuba, obrosły, czarny, smolny, leżąc przy ogniu między trzema swojemi dziewczkami. Siekiery przy nich, noże, nawet pistolety skradzione.

— Alek go pać! — mówi Róża. — Ino roz spod na ziem!

— Pać! go i jo!

— I jo! — chwali się Wikta.

— A tamtegoś nie fciała, kie my ci kazowały, co jesce zywy bół.

— Do wysydźkiego sie trza przyucyc — rzekł Wodny Kuba.

Ludzie widywali czasem po drogach starego, siwego chłopa i trzy dziewczki obdarte, bose.

— Skądęście?

— Z Polski.

— Dokąd idziecie?

— Bięda nas zenie.

— Zarobku szukacie?

— Zarobku.

Niejeden opatrzył, dał, nikt się nie domyślał. Siekiery były krótkie, pochowane pod płachty, krucice za koszulą. Tak się przewiadywali, gdzie co ukraść można, gdzie jaki kupiec, karczmarz, bydło. Jak się nie dało ukraść bez mordy — mordowali. Spadali z nienacka w nocy, nie wiadomo zkąd; przepadali w lesie, jak widmo. Zostawał tylko strach.

Legiwał Kuba przy wiatrze nocami, zatulał się w płachty i w kozuch i myślał. Dziewki twardo spały, ale on, stary, lichy już sypiał. Myślał więc o przyszłości. Tego wszystkiego do czasu było. Naprzód niezadługo przyjdzie zima — śnieg już przepadywał czasami — wtedy nikt nie wytrwa w kolebie w górach. Dalej ludzie spostrzec się muszą, kto to rabuje. Stare chłopisko siwe, trzy kobiety — dobrze, ale i to wzbudzi podejrzenie. Rabunki się powtarzają, mordów było ze trzy. Dobra nazbijanego już jest kielo telo. Trza do chałupy wrócić. Wyzimują się, a na wiosnę, niby na robotę pójdą, w rzeczy gdzie jaki kawałek gruntu kupią i nie wrócą więcej. Wyniosą się za Nowy Targ, za Obidową. Dziewki się za mąż wydadzą, tłuste, czerwone na gębie, zabrały się, aż miło spojrzeć. Wodny Kuba będzie ziemnym Kubą. Przecie się los za wolą Boską odmienił.

A dziewczki żyły jak w ogniu. Nauczyły się biegać po turniach, jak kozy, przez las, jak wilki. Wicher im wypalił twarze, krew się im płomieniła pod czarną skórą, żar je palił. Pierwsza kradzież im zgrabnie poszła. Ojciec wołu w kosodrzewinie za rogi złapał, pysk szmatą okręcić kazał, uwiedli go w gąszcz, obuchem w łeb raz, drugi, trzeci — zabiła Róża. Było jedzenia na parę dni, dopóki się mięso psuć nie zaczęło.

I napad pierwszy na drodze też się powiódł szczęśliwie. Idzie stary chłop drogą z trzema dziewczętami; nie bał się kupiec, choć las był. Biały dzień zresztą.

— Niek będzie pokwalony — mówi mu stary, mijając i uchyla kapelusz.

Kupiec Niemiec musiał być, nie odpowiedział, tylko głową kiwnął, a w tej chwili stary się obrócił i buch go w głowę sę-kaczem. Kupiec padł. Stary mu poprawił raz, drugi, nożem dodźgał. Tego tylko Róża

wycięła raz obuchem. Ale drugiego, karczmarza, już ona pierwsza nożem po gardle na spaniu przejechała. Kazała Wikcie dobić go, sama z Ulką i ojcem skrzynkę za pieniędzmi rozbijała; nie chciała Wikta. Ale przy trzecim razie, kiedy znowu wędrownego kupca napadli, już i ona raz mu obuchem w ciemię dała.

Różę opanował szal grabieży, a nawet mordy. Kiedy kilka dni nigdzie nie szli, usiedzieć nie mogła.

— Musem kie podpalić té dziedziny — mówiła, patrząc ze zrębu turni na miasta i wsie po Spiżu i Liptowie.

Już nie stary ojciec, ale ona bywała heroldem wypraw. Naprzód szła z siekierą pod płachtą, z pistoletami za koszulą. Ona broni dostała. Okradła sklep korzenny w Popradzie, gdzie i broń sprzedawali. Wśliznęła się oknem sama w nocy, wygiąwszy tyle kraty w oknie toporzyskiem, że się zmieścić mogła. Gdyby ją był kto usłyszał, albo zo-

baczył, byłaby przepadła. Ojciec i siostry stali za węglem domu z przeciwka, gotowi do obrony, ale i do ucieczki. Gdyby się nie dało wybronić, lepiej jednej głowy, choć siostry i córki, odzłować, niż swoje stracić. Serca im dygotały w piersiach. To była najzuchwalsza, najśmielsza kradzież.

— Nie bałaś się, że cie przisiednom? — pytała Wikta.

— Ej! Ani mi do myśli nie przysło. Kiebyk sie bęła bała, nie bęłabyk laźła.

W dolinie przy stawie, w lesie podczas napadu: zdawało się, że rosła. Kiedy pomiędzy ludzi szła, kurczyła się i gięła, pół jej ubywało. Bała się ludzi, niecierpiała ich.

— Kasałabyk, kie między nik właze — mówiła — jaze mi zukwy skacom.

Ulka kradła najlepiej. Zawsze ona najwięcej przyniosła łupu, zwłaszcza pieniędzy. Nie uszło nic jej oka, niczego nie minęła. Ulka ma w palcach światło — śmiały się z niej siostry, bo żeby najciemniej

w jakim sklepie, albo w komorze było, zawsze ona, co trzeba było, znalazła.

Ona była gospodynią w kolebie, ona gotowała, chowała w skrytce grabież, żeby nie zamokła, prała, ogień robiła. Jak odrobiła swoje, legła i spała.

Wikta, najmłodsza, leciała z innemi, bo się sama bała zostać w górach, ale się na wiele nie przydała. Unosiła w góry to, co jej ojciec i siostra do niesienia dali, ale sama mało co ukraść umiała. Kiedy stary Kopiński leżał przy watrze i fajkę paląc w głowie plany na przyszłość układał, Róża ostrzyła noże na gładkiej skrzyzali, albo suszyła proch, a Ulka koszule prała, lub pieniądze liczyła, co jej się nigdy nie sprzykrzyło, kładąc je w kupki dla rachunku: Wikta wypatrywała kozy, świstaki przypatrywała się siwarnikom, jak koło stawu po kamieniach chodziły, ćwierkając, świergocząc, mentlom skalnym, co po turniach latały i jaki tam ptak się pokazał. Śpiewać

•

byłaby rada, ale ojciec głośno bronił, żeby gdzie kto nie usłyszał, choć sroga pustka była wszędy na okół; więc nuciła z cicha, co jej się przypomniało i wyskała po cichutku: iii hi-heul!... Radaby była strasznie owce mieć i po halach je pasać. Najładniejsza była z sióstr, ale węższa i słabsza.

I byłoby wszystko dobrze. Tak się stało, że zlecieli na grabież ku wsioom za pogody. Tymczasem napadał śnieg i tropy po nich zostały. Wybrali się ludzie w pogoń za śladem, wicher jednak straszny przyszedł, drzewa łamał, więc wrócili. Jeden tylko śmiały strzelec, rodem ze Sławkowa, uparł się iść, a uparł się tem więcej, że go tropy dziwiły, bo jedne stopy chłopskie, ale inne drobne, kobiece. Chłop i trzy baby. Na świętego Marcina! Cóż to może być?! Baby za zbójników nastały?!... Nie wiedział on nic o Kopińskim i jego córkach, ale rozumiał, że wicher i tę bandę

musiał gdzie zatrzymać. Wziął strzelbę, siekiere i ruszył.

Choć wichur śniegiem ciskał, tropu niestracił. Tak szedł, jak za dzikiem, albo niedźwiedziem. Ale ci, co uciekali, nie ustawali w drodze. Coraz wyżej oni szli w góry. I mądrzy byli, bo się w kosodrzewinach rozbiegli, każde osobno poszło.

— Śnieg by nos mógł zdradzić — mówił Wodny Kuba — Trza ino dobro ze skrytki zabrać, musimé uciekać, skąd my przyšli.

To go trapiło, jak tu po śniegach przejść. Które dy przeszli po pod Litworowe, niema mowy. Ptak-by chyba przeleciał. Wiedział on o przejściu poza Garłuchowskim Szczytem, które dy łatwiej, ale trzeba było szczyt obejść, unizać się po nad Wielką Dolinę. Spotka pogoń, jeżeli ściga, rozbiegła się — może być źle.

— Bedziemé sie bić — mówi Róża.

Rozsiali się w kosodrzewinie, żeby trop zmylić, mieli się przy kolebie zejść. Nie czekać potem nic, niech co chce będzie, w nocy ztamtąd wyruszyć. Da się, to ku Wielkiej Dolinie; nie da, to ostrożnie ku lasom się spuścić i lasami po pod Tatry drzeć, gdzieś ku niskim przełęczom, ku Orawskim Tatrom, ku Krzywaniowi. W nocy gonić nie będą. Żeby tylko w lesie nie zbłądzić. Ale tu stary Kuba liczył na Różę. Ta se wszędź do rady — uspokajał się.

Co do Róży, to ta liczyła, że i trzem chłopom sama dostoi: dwóch z pistole-tów, trzeciego ciupagą.

— Dyj i oni zbroje mozom mieć.

— Niegze majom! Jo ta o ik zbroje nie pytom, ino o swojom.

Tymczasem sławkowski strzelec wybrał chłopski trop i za nim szedł. I wyszedł na równię kamienną koło stawu, na brzeg, gdzie go z koleby nad stawem

było widno. Wzięli go Kopiński z córkami na oko. Patrzeli, czy więcej ludzi nie idzie. Dobra bronieć postanowili do śmierci. Stracić to, co tak krwawo zarobili?! Stopy i ręce kalecząc, po tyłim czasie bez dachu nad głową, mieszkając wśród kamieni, jak zwierzęta dzikie, naraziwszy się tyle razy na schwytanie, na śmierć, po tylu wytrzymałych ulewach, nawałnicach i zimnach?! Na to by to mieli wszystko przetrzymać, żeby im kto teraz miał krwawą zdobycz, krwawe dobro odebrać?! Czy kiedy jaki gazda, jaki rolnik, który bogaty Pawlica, Chowaniec, czy Para, wylał tyle ciężkiego potu, co oni, natrudził się tyle, nadźwigał, namęczył?! Nawet Wikta ścisnęła pistolet w ręce, choć się go zawsze dotąd bała.

Ale nikt się nie pojawił pod stawem, a ten człowiek, który przyszedł, widocznie znużony bardzo, porozglądawszy się wokoło i nic nie ujrawszy, siadł pod

wielkim głazem, oparty plecami, siedział, rozglądał się, fajkę palił, aż zasnął. Widać było.

Wtedy Róża i Ulka podkradły się ku niemu z nożami.

Spał tego.

— Zabić go! — szepnęła Róża.

— Nie! Związać go! Powie nom, cy nos ścigajom.

— Ej, wiera! Ale s cym związać?

Ulka pomyślała trochę.

— Spodnicami!

Zdjęły wierzchnie spodnice, skrzyły.

— Do garła mu nóż przyłożem, a ty wiąż! — rzekła Róża.

Pod szpicem noża obudził się strzelec, ale już nie drgnął, tylko oczy otwarł. Szpic noża czuł w skórze na krtani. Ręce mu Ulka wiązała spodnicami w tył na plecach.

— Dyabłyście?! — ozwał się, kiedy mu Róża nóż ze skóry wyciągnęła.

— Dyabły! Podź!

— Wyrwę się!

— Spróguj!

I Róża przytknęła mu znów nóż do gardła.

— Podź!

Przywiodły go do koleby.

Zdumiał się.

Stary chłop przed nim, zarosły, jak las, czarny, jak torfowisko, tylko mu się włosy biela, jak mech siwy na smreku. Przy nim dziewczyna, młoda, ledwie dorosła, z pistoletem w ręku, koło niego dwie wiedźmy młode i ładne, a bujne, jak lipy. Spódnicami go związały na śnie i wiedą. W kolébie mieszkają, widno, sprzęt nawet niejaki jest.

Zdumiał się strasznie.

Stary Kuba myślał: udać przed nim, że to nie oni rabowali — ej! na co? Nie uwierzy, a i tak żywy nie może odejść.

— Ścigajom nos? — spytał.

— Prowde mów! — rzekła Róża, dotykając strzelcowi twarzy nożem.

— Ustali. Wiatr ich wrócił.

— Dobrze. S cymeście go związały? Spodnicami?

— No.

— Dobrze. Trza poprawić.

Związali strzelcowi ręce i nogi powrozem, przewiązali usta, aby nie krzyknął.

Stary Kuba myślał: albo go zabić od razu, albo też zmusić do niesienia zdobyczy, dokąd się da, a potem zabić. Tak zdecydował.

Ściemniać się jęło i nikt nie nadchodził. W nocy nikt tu nie pójdzie po śniegach świeżych, ślizgich i miękkich. Wiatr zresztą tropy musiał zawiąć bez śladu. Naszła od północy z poza wierchów gęsta, posępna mgła.

Wodnemu Kubie bezpieczniej się wy-

dawało przejść poza Garłuchowski Szczyt ku Polsce, niż zniżać się ku Liptowu, ku niższym przełęczom. Ale nie pamiętał, które rądy popod Garłuchowskie turnie przejść, żeby na przepaście nie trafić.

— Pilnujcie go haw — rzekł — a jo przelece przeźreć, ka puści? Jak noc nie bedzie ciémno, w nocy pudziemé, jak be barz ciémno, lem świt. To biéda, ze gmy ciągnom.

— Byście ka nie zaskocyli, tato.

— Bedem skole kład na znak. Ono we gmlé hnet pogłupi cłowieka. Hnet zgłupie.

— Wracojcie wartko.

— Ino przeźrem. Pilnujcie tego cłeka!

— O! Jus my go hawok upilnujemé!
Lećcie, tato, co thu!

— Duhem!

Poszedł.

Pojadły dziewczki. Wikta odwiązała usta strzelcowi, dała i jemu. Śmiały człowiek

był, zaczął żartować. Sam się ze siebie śmiał, że się dziewczkom dał wziąć.

— Cóż wy ze mną zrobicie? — spytał.

— Ozwiążemé ci nogi, pomożes nom dobro nazbijane nieść. Pote cie zabijemé. Tak tata radzili.

— Ej, to mnie przecie nie zabijajcie!

— Zdradziłbyś nos!

— Nie zdradzę. Przysięgnę!

— Jako tata ukwalom, tak będzie.

Kiedy mu Wikta dała pojeść, Ulka mu przyniosła flaszkę z wódką i przytknęła do ust; zaraz wstała Róża i przyniosła mu wina.

Wikta mu podłożyła serdak pod głowę; Róża wtedy podsunęła mu drugi pod plecy; zaraz wstała Ulka i przyrzuciła mu czuchą ojcową nogi od chłodu. Nie zawiązywały mu już ust. Mówiły żeby im odpowiadał. Słuchały. Jak się jedna spytała, czy mu się chce jeść, zaraz się druga pospieszyła

spytać, czy mu się nie chce pić, a trzecia była zła.

Przypatrywały mu się z razu śmiało. Ale potem jedna na drugą poglądała, czy nie widzi. Kiedy się spotkały oczyma na jego twarzy, czerwieniały. Młody był, może miał dwadzieścia pięć lat. Chłop rosły, bujny, ze strzelecka ubrany, jasną miał młodą brodę, krótko przy twarzy, niebieskie oczy.

Mgły szły gęste, coraz gęściejsze. Począł się i zbliżać wieczór. Wychodziły wyglądać jedna po drugiej; stary nie wracał. Czekały — nadeszła noc.

Złożyły watrę, bo i pewne były, że nikt nie ściga i w takiej mgle ani ognia, ani dymu nie widno.

Opatrzyły strzelcowi dobrze powrozy i legły koło ogniska na sen, strzelca mając między sobą. Usta mu zawiązały. Ojciec przykazał, żeby tak było.

Kiedy się obudziła Róża, mgły nie było, noc jasna. Turnie czarne nad stawem, staw

jak czeluść. Księżyc poświęcał z nieba; pół go było.

Cicho.

Uniosła Róża głowę z posłania, patrzy: strzelec, jak był, jednym bokiem przy ogniu, z drugiej strony Ulka, przy nogach Wikta. Róża była mu koło głowy. Tak się jej zdało, że Ulka udaje, że śpi, a Wikta głowę schyliła, kiedy ona swoją podźwięła. Strasznie się jej blisko obie siostry wydały strzelca, bliżej, niż kiedy spać leżały.

Przysunęła się i ona ku niemu.

I powoli zaczęła się ku niemu przybliżać, ale tak musiała robić i Ulka, bo się zetknęły, Róża kolanami z jej głową.

Zadrzemało się Róży.

Budzi się po chwili; znalazła swoje kolana odsunięte i oparte o plecy Ulki; wsunęła się i ona prawie całkiem między nią a strzelca. Podnosi głowę: Wikta przyścięta do strzelcowych nóg. Strzelec śpi, albo udaje.

Szarpnęło Różę.

— Co sie pchas?! — mówi do Ulki —
Pąk sie! — i trąca ją w ramię.

— Ty sie pąk! — odpowiada Ulka.

Umilkły. Sapanie jakieś wzdęło pierś Róży; dycha i Ulka, aż jej nozdrza świszczą. Nic nie mówią do siebie, ale się cisną, jedna drugą: Róża Ulkę w ramiona, Ulka Różę plecami w kolana. Odepchnąć się chcą.

A we Wikcinych piersiach ogień. Sunie się, sunie cichutko, jak wąż, ku strzelcowym nogom, coraz bliżej, coraz bliżej. I słyszy, jak Róża mówi: Nie pchaj sie! Pąk sie kaś béła!

— Pąk sie ty! Kajek béła, tamek jest!

— Nie prowda! Mnie zimno!

— I mnie zimno!

— Dociś drew!

— Sama se dociś!

Umilkły.

— Ej! byk cie nie kopła! — mówi po chwili Róża.

— Abo jo tobie! — odpowiada Ulka. Znowu umilkły. Sapały, sapały, zdawało się Wikcie, że zasnęły. Zdrzemała się i ona — wtem coś ją potrafiło w twarz. Otwiera oczy — patrzy: Ulka nad strzelcem schylona, prawie leży, ręce na nim trzyma.

Jakaś wściekłość przejęła Wikte. Zerwała się na kolana, krzyczy: Co robis, Ulka?!

W tej chwili obudziła się Róża i też się porwała z posłania. Ulka nie zdążyła strzelca puścić — patrzą na siebie.

— Ulka! — odzywa się Róża groźnie.

— Co?! — odpowiada Ulka, a głos jej drży z nabrzmienia w piersiach.

— Ty?!...

— Cos?!...

— Odeńdzies?!

— A ty jako?!

- Coś fciała?!
— A ty?!
— Jo go hycieła!
— Jo go wiązała!
— Możeś go ozwiązać fciała?!
— A ty co byś fciała?! A kiebyk go
i ozwiązała, to co?!
— Mój jest!
— Taki i mój!
— Twój?!
— Zej to mi go weź!
— Jako bedem fcieć.
— Abo jo!
— Ty?!
— Moze ty?!

Zbliżyły twarze ku sobie — zdawało się Wikcie, że sobie zębami grożą, tak blisko były siebie.

— Idź! — krzyknęła Róża i chwyciła strzelca za ramiona.

— Ty idź! — odkrzyknęła jej Ulka, łapiąc go wpół.

Przy blasku ognia zobaczyła Wikta jakiś przewściekły gniew na twarzy Róży. Porwała się ona na nogi, kopnęła Ulkę, aż ta się pochyliła; schwyciła strzelca pod pachy i uniosła go nad ziemię, jakby go odwlec chciała. Chwilę się zdało Wikcie, że się Ulka rzuci na Różę, ale widocznie się bała; odrzuciła tylko Wiktę z całej siły. Wikta przysiadła od ciosu i skoczyła wściekła na nogi. Kiedy Ulka złapała strzelca za nogi koło kolan, aby go nie dać ciągnąć Róży, Wikta, sama nie wiedząc prawie, co robi, ślepa z uniesienia, objęła go pod uda. Poczęły go ciągnąć, szarpać, każda ku sobie. Z zawiązanych ust strzelca wydobywało się chrapanie, zrazu chciał krzyczeć, potem znać, że jęczał. Ulka, najsilniejsza, darła go za nogi ku sobie. Wikta mimowoli jej pomagała. Targnęły już ku sobie Różę jeden krok, dwa, trzy.

— Cyżje bedziej? — stęknęła Ulka.

Róża chciała się zaprzeć nogą o głaz, ale nie zdołała. Znów dwa kroki pociągnęły ją ku sobie siostry. Wtedy krzyknęła: To se go biercie! — szarpnęła ciało z wysiłkiem ku sobie i z całym zamachem grzmotnęła głową strzelca o kant głazu. Jęk przeraźliwy wydarł się z pod szmaty na ustach.

Naokół prysła krew i mózg.

Puszczony z pod ramion przez Różę, strzelec runął z rąk Wikty i Ulki. Puściły go przerażone.

— Zabiéłaś go! — wrzasnęła Wikta.

— Zabiéłaś! — powtórzyła Ulka.

— Zabiéłak! — odpowiedziała Róża. —

Teroz ze was?!

Oparła się o głaz tyłem i rękoma, gotowa do walki.

Wikta przyklękła przy leżącym strzelcu, zdjęła mu opaskę z ust. Jęknął, ale le-

dwo, słabo i jakby ostatnim tchem. Ulka skoczyła po nóż i porozcinała powrózki, któremi był związany. Mało co poruszył sobą jeszcze. Musiał skonać.

— Zabięłaś go — szepnęła Ulka.

— Zabięła — powtórzyła Wikta. Klęczały przy nim, jedna z opaską w rękę, druga z nożem, obie pokrwawione.

Róża odwróciła się, stała chwilę nieruchomo, a potem zaczęła jakimś kijem ognisko rozrzucać. Zostały tylko tlejące, przepalone drwa i węgle. Stało się ciemno.

W tej chwili ozwał się z nieopodal głos Wodnego Kuby: He — he — heu!...

— Tata idom! — drgnęła Ulka.

— Jesteście ta?! Bez cos watre osciskujecie?! — wołał Kuba

Zbliżając się, mówił: Gmy mie zasły, widziało sie, co przypadnem. Cysto pięknie jek zgłupiał. Takek seł, jak ślepy.

Wyniesło mie psie mięso jedne kasi w takie źleby, co sie widziało, ze juz gwołte hań trza bedzie ostać. A tu nie widno nika nic: gmla i gmla. Dobrze mie juz janieli séjmować z tyk turni fcieli. Poblądziłek, zakręcało se mnom... Je cos to haw?! W Imie Ojca i Séna!... Kis to sto djasków?!.. Nadszedł i zobaczył przy księżycu strzelca na ziemi nieruchomego, a z rozwiązanemi rękoma i nogami.

— Cos sie stało?! Cozeście takie niemowy?!

Chwycił suchą gałąź, przygotowaną na ogień, zatlił ją, rozпалиł i począł patrzeć.

— Łeb mo ozbitom! W Imie Ojca i Séna! Wtos to zrobiel? Cy sie ozwiązał i uciekać fciał?

Oglądał go coraz lepiej, mówiąc do siebie: Odzienie na nim potargane, durkniony je ciemieniem o skałe... Powrózki

noze posprzecinane... nie porozruwane ni-jako...

Obrócił się do córek: Cyscie go wy ozdarty, jak orły?...

Dziewczyny milczały.

— Ze cos zrobiel? Dyj sie som o skate nie prasnon, ani sie znika nie sulnon, bo niemial zkad. Cos zrobiel?

Dziewczyny milczały.

Wodny Kuba przywykły był ostro przewodzić w rodzinie, tupnął więc nogą ze złością i krzyknął z gniewem: Powiecie, weredy jedne, cy nie?!

Dziewczyny stały koło strzelca i milczały. Róża patrzyła na ojca bystro otwartymi oczyma, Ulka odwróciła twarz w bok, Wikta wsadziła koniec fartucha w zęby i spuściła głowę. Wodny Kuba stracił resztę cierpliwości, złapał patyk z pod ręki i skoczył ku Wikcie.

— Powieś, lebo nie?! Dyrlogo zatracona!

Wikta się przelęknęła, cofnęła, zasłoniła ręką i krzyknęła ze strachem: My go zabięły!

Wodny Kuba wstrzymał się, jakby go z pod ziemi za pięty chwyciło. Chwilę niemo stał, potem zawołał ze zdumieniem: Zabięłyście?

— Zabięły — powtórzyła Wikta i dodała z trwogą szybko: Rózo go zabięła.

Wodny Kuba nie mógł ochłonąć ze zdumienia.

— Jazek zmięrtwia! — rzekł. — Zabięłyście go? Ale na co? bez co? Cy se som na spaniu powrózki poozcinał i uciekać fciał? Abo fciał hipnonć do wos? Ale dyj przecie związany bęł, co cud! Cyście mu wy ozcieny powrózki?

— My, ale jus na trupie — rzekła Wikta.

Wodny Kuba usta otworzył ze zdziwu.

— Hnet byś o rozum prziseł — rzekł. — Toście go związanego umęcły?!

Dziewczyny milczały.

— Bez co?!

Róża poczęła patrzeć w dół, Ulka odwróciła jeszcze więcej twarz, a Wikta wzięła znowu koniec fartucha w usta i spuściła głowę. Wodny Kuba stał przed nimi i patrzył na nie kolejno przy świetle księżyca, który wyszedł z chmur i wisił na zrębie Batyżowieckich grani, przedarty i ziskrzony na ośnieżonych skałach.

— A cozeście go zjeść fciały, cy jako? — ozwał się po chwili.

Patrzył na nie. Hm — rzekł — coż sie tak hańbicie? Głowyscie pospuscały, nie patrzicie do mnie śmiało... Ej! — wrzasnął nagle, znowu wpadając w złość — Abo mi tu w té razy powiecie, abo, przy sam Panu Bogu, jo vos krotni miliońscy! Tu vos porombiem!

Chwycił siekierę we wściekłym gniewie. Wikta i Ulka uskoczyły ze strachu, choć jeszcze kroku z miejsca nie ruszył, a Róża

ozwała się gardłowo: Wydrzyć mi go
cfały... Bęł mój... Bez to...

Wodny Kuba znowu się zdumiał nie-
slychanie. Wydrzyć? — powtórzył. — Ja-
kos to? Nie rozumiem temu... Jako wy-
drzyć? Na co?..

— Ulka sie ku niemu pchała — rze-
kła Róża.

— I Wikta tys! — zawołała prędko
Ulka.

— I Rózo! — krzyknęła Wikta ura-
żona.

— Obie sie pchały — rzekła Róża.

— I ty tys! Jesce barzej — zawołały
Ulka i Wikta razem.

— Tyś sie pchała piérso! — krzy-
czała Ulka.

— Ba ty! — odpowiedziała Róża.

— Tyś go hyciela pod pazuhe!

— A ty za nogi!

— Wikta tys!

— Jo ino tak, boście wy ciągły!

— Ty! Tyś ku niemu pierso podjechała! — krzyknęła Róża.

— Baj to! Prowda! — odcięła się Wikta.

— Ona! — krzyknęła Ulka także na Wikte.

— E! Moze?! — broniła się Wikta. — Tyś na nim légala, nie jo!

Wodny Kuba słucał i cudował się niemo; teraz nagle podniósł głowę, chwycił powietrze w usta, przysiadł na ziemi i zaczął się śmiać: Ha! ha! ha! — aż się rozległo po ciemnej dolinie koło stawu.

— Ha! ha! ha! — śmiał się Wodny Kuba. — Kizby sie i dyaboł nazdał! Ha! ha! ha! Toście go ozedrzyć pomiędzy sie fciały! Rany boskie! Pukne! Ratujcie me świeńci Janiołowie!... Pukne od śmiehu!... Ha! ha! ha! Jaze me kolki prejom!... Na mój sto prawdu! Kizby sie i dyaboł nazdał, aj nazdał?! Ha! ha! ha!... Ha! ha! ha!...

Siadł na kamieniu i zanosił się od śmiechu.

— E dy... e dy... — zaczął mówić przerywanym od śmiechu głosem — e dy... trza bęło za kolejom... e dy... kabyscie go bęły ozdarty... na cęści... i tak by sie do równości nie dostało... zodnej... co potrza... jedna by miała głowe... ha! ha! ha! ha!... drugo nogi... trzeciol... ha! ha! ha!... Puknel!... Puknel!... ha! ha! ha!... ha! ha! ha!...

Śmiał się, aż się na prawo i na lewo kołysał.

Róża patrzyła na niego dziko szeroko rozwartemi oczyma, Ulka miała znowu odwróconą twarz, a Wiknę porwał ojca śmiech i zaczęła pokwikiwać dziwnie, nieswoim śmiechem.

Kiedy się Wodny Kuba wyśmiał do syta, oczy z łez otarł, pas na brzuchu poprawił i włosy z ramion odgarnął, wstał z kamienia i jeszcze przerywanym gło-

sem począł mówić: No... dziewcęta... ale dzień hnet... trza w uciekaca... ściignon by nos wto zatela sukać... juz nos hawok ośpihowali, oślade strzelcowom tys najdom — — podźmé, by my sie ka nie stretneli s kiém...

Spojrzał ku strzelcowi. — Ej! Przidołby sie tén honielnik dobro nieść... No ale ta jako fciało... Musimé sie sami jako spomóc... Fryśko! Fryśko! Zbiérojcie sie! Gajdzice!

Dziewczyny chwyciły się roboty, jak ogień; rade snadź, że się już myśl ojca odwraca od strzelca. Ale Wodny Kuba, pakując i wiążąc zdobycze, śmiał się i drwił z nich: O zackojciez ta, zackojciez końdek... Aleście z Capkowskiego fajtu!... Sydźkie Capkule do hłopa, jak kot do spérki!... O hej!... O zackojciez tys, zackojciez!... Ino zeńdziemé dołu... Terozeście tłuste, piékne... A cobyście sie jesce mnie starego nie hyciły... Ha! ha!

ha!... I znowu śmiać się zaczął, aż wiązać na moment przestał.

— Dyabłaście zjadły, aj, zjadły! — powtarzał. — Sakowite rzeczy jek slišał we świecie, ale cosi takie nie. Ale was przinogliło naremnie! Wiera ze tys! Ale przinogliło!

Jeść se dziewczki weźcie — ozwał się, gdy wszystko było gotowe. — Ty Ulka zabier se, boś ty jeśna. No, podźmé!...

Stęknął pod workiem, stęknęły i dziewczęta, jedna drugiej ładując na plecy. Mieli iść, kiedy Wodny Kuba wstrzymał się nagle i rzekł: Wiera! Dałby nom ten!

Poczem szybko zsunął worek z grzbietu, przystąpił do zabitego strzelca, obrócił go do ziemi i wbił mu nóż pod łopatką do serca.

— No, teroz hybajmé co duhu!



PRZYPISKI.



- ...banie brać — głębie kopać.
- ...jacy — raczej, raczej tylko, tylko.
- ...ucla się — uprzykrzyła się.
- ...na prag — na miazgę.
- ...hore — w górę. Teraz nie używane prawie.
- ...teloz by — tak jakby.
- Polskim Grzebieniem nazywano dawniej prawdopodobnie łańcuch od Lodowego ku Wysokiej.
- ...spod na ziem — upadł na ziemię.
- ...kie — kiedy.
- ...skrzyzał — gładki kamień.
- ...pąk się — posuń się...
- ...nie prasnon się — nie uderzył się.
- ...znika — znikąd.
- ...nie sulnon się -- nie tulnął się.
- ...weredy — przezwizko.
- ...bassama na lewo — zakłęcie.
- ...dyrlago — dyrlaga: długa żerdka, także o cieniu w wieku cienkim i wysokim.

- ...zmiértwiał — zmartwiał.
...o rozum prziseł — oszalał, zgłupiał.
...hańbicie się — wstydzicie się.
...cudował się — dziwował się.
...nazdał się — domyślił się
...na mój sto prawdu — przysłowie orawskie, często
na Podhalu używane.
...kolki prejom — prą.
...kabyście — gdybyście.
...w uciekaca — tyle co: w nogi.
...ścignon by sukać = pospieszył-by się szukać.
...za tela — tymczasem, za ten czas.
...hawok ośpihowali — tutaj wyszpiegowali, wysłedzili.
...oślade — ślad, trop.
...niestretneli się — nie spotkali się (stretnać się).
...fryško — żwawo.
...Gajdzice — piszczalki w kobzie (także gaździce).
...końdek — trochę.
...z fajtu — z rodu, także z gatunku.
...dołu — na dół.
...sakowite — rozmaite.
...naremnie — gwałtownie.
...wiera ze tys! — tyle co np: dalibóg!
...jeśna — chciwie jadząca.
...honielnik — pomocnik juhasa.

RSW

SOBEK JAWORCZAK
JAKI HONOR MIAŁ

Za wydanie Sobka Jaworcarza nałożonych było dwadzieścia dukatów nagrody. Ale nigdy przenigdy byliby go nie chwycili, gdyby go jego honor nie zgubił.

Ścigali go dzień cały hajducy, strasznie zmęczony był. Odbiegł przecie ścigaczy, ale już ledwie dech łąpał. Świeciło się w jakiejś chałupinie przy drodze w Har-klowej — wszedł.

Zastał babę, chłopą, troje dzieci, dwie dziewczki i chłopaka wyrostka; wieczerali.

Pana Boga pochwalił, powiada: Dogoniłk sie drógami bez dzień, a i nie jodek nic, kiebyście mi krapke kwaśnicy dali, widzem, ze jécie, bo mie jaze pali na wnuku. A pote byk se ka lóg do rania.

Czy miał gazda wolę nocować go, czy nie — Sobek głową powałę wsparł — prosił

go pięknie na ławie siadać, kwaśnicy pić, ile chce.

Choć Sobek broni, prócz ciupagi, przy sobie nie miał, bo go znagła zajęli, pozbierać się z leżenia nie miał czasu, poznał chłop, że to nie bądź jaki będzie włóczęga. Odzienie miał dochodzone, sponiewierane, ale widno było fajne. Co był, to był, bać się go chłop nie bał, wiedział że mu nikt nic nie weźmie, bo niema co; biedna była chłopina. Daje tedy Sobkowi kwaśnicy, na szopę go spać zaprasza, ale mu też więcej nie świadczy.

Dziś przyszedł, jutro pójdzie, tyle się będą widzieli.

A Sobka aż podsadzało na ławie, bo tego był pewny, że jakby swoje imię powiedział, to tak się stanie, jakby zagrzmiało z pieca. On że to czternaście karczem żydowskich obrabował, on się z Zamku Orawskiego dwa razy wy dostał, on siedmiu huzarów węgierskich pod Hradkiem od dzie-

wczął sam jeden, stołkiem drewnianym tylko zbrojny, wypędził, on czterem hajdukom orawskim i z łańcuszków i oków się wyrwał, targając je, jak szpagat; on wreszcie żyda na Obidowej, który pieniądze miał w ziemi zakopane i zdradzić nie chciał, za brodę i za pejsy do drzewa przybił a karczmę podpalił, za co właśnie za jego wydanie nagrodęznaczono; on wreszcie tyle koni i wołów ukradł, tylu ludzi pokaleczył i tyle najgodniejszego zbójcekiej kondycyi mątu na świecie narobił, że słusznie mógł mniemać, iż jak powie swoje imię, to się tak stanie, jak żeby w izbie z pieca piorun trzął.

Co zaś spojrział na jedną, albo na drugą dziewczynę, to go szydło żgało. I nie wytrzymał w końcu, choć wiedział, że po całej okolicy po wsiach i po miastach o nim obębnowali i po kościołach z ambon księży wołali; nie wytrzymał i rzekł:

— Jo jest Sobek Jaworcarzów.

Taki honor bestyja miała.

Jak też powiedział — nie chybił. Chłop fajki do ust nie wraził, tylko rękę zatrzymał, babie łyżka w miskę tyrknęła, dziewczętom oczy w słup stanęły, a chłopak się porwał z miejsca i wyskoczył za drzwi, jakby go kto oparzył. Uciekł.

Wiedział Sobek co robi; strasznie rad był. Pozierał dookoła.

— Wyście Sobek Jaworcarz? — bąka po chwili chłop.

— Jo.

Już nie na szopę, ale go na pościel zapraszali spać, a sami na szopę iść chcieli, choć strasznie zimna była noc. Ale Sobek sobie w białej izbie posłać kazał — śmiało rozkazywał, prawo czuł — a cieszył się, że się przecie pod dachem wyśpi. Już go trzeci tydzień tropili.

Honorowy człowiek był i swój honor w ludziach przypuszczał. Nie wątpił on, że chłop o nagrodzie za jego wydanie wie,

ale gardził myśleć o tem, że go wydać może.

— Przeboccie — rzekł zwyczajnie, wychodząc z izby czarnej.

— Z nicego — odpowiedział chłop i Sobek poszedł do białej izby, legł i zasnął.

A chłop duchem do wójta, wójt duchem po przysiężnych, po chłopów; zebrało się tego kupa, dwunastu, albo więcej, obstępować domu nie było co, w okienkach były kraty, weprała się hałastrą prosto do izby, gdzie Sobek Jaworcarz spał. Obyczajem zbojeckim ciupagę on przy sobie położył, ale mu ją po cichu baba z pod ręki zawczasu uprzątnęła.

Kiedy ujrzał światło, ludzi, sięgnął ku ciupadze — niema — skoczył z pościeli. Ale chytra baba groch pocichutku po podłodze rozsypała. Zaraz poślizgnął się i padł. Przysiedli go i związali.

Tak wzięli w Harklowej za Nowym

Targiem Sobka Jaworcarza z Brzegów, z pod samych Tatr, przed którego imieniem aż się, mówili, ziemia ugiwała ze strachu, gdzie płynęły Wag, Orawa, Poprad i Dunajec. Przez zdradę chłopską i babką go wzięli. Szeroko sływał.

Kiedy go na wóz wsadzać mieli, żeby do Nowego Targu do starostwa odwieźć, rzekł on do chłopca, co go zdradził:

Cemużes mi nie pedział, zes biédny, a tego świństwa, coś mie wej przezradził, nie robiel? Byłbyk ci dał i telo i jesce więcył, kielobys fciał. Ale wam, kobiéto, coście mi grohu pod kyrpce nasuli, to ino do ocy napluć. Wydać — no, po wsiak i po miastak wołali, kazdy prawo miał, mógek i jo sie nie kwalić, cok za jeden! Ej, na mój dusiu! Kieby nie té postronki! Jescebyk tobom, ino byk cie do garzci hyciel, zatracona babo, lepi tyk przisiężnyk wyonacył, jako ciupagom! No ostanćcie tu z Pane Boge témcase. Ale sie na

was nie bede mścił, bo sie oreł na jastrzębiu ino wtej mści, jakby go przy gnieździe spotkał. A wyście ta moim dzieciom nic nie zwyrządzali, a hoćby wto i fciał, to bięda, bo ta po mnie jajko nie w jednym miejscu ostało. Gniazd be po świecie z pół kopy, abo więcył. A i hawby moze było jedno, abo i dwa, ino ze sie mi spać fciało.

Radby był kapelusza na bakier poprawił, ruszył się, tylko że ręce związane miał. Dziwował się wójt i przysiężny i wszyscy chłopci na tę fantazyję.

— Cłeku! Nie wis, ka jedzies? — powiada wójt.

- Ka jade, wiem, a i to wiem, ze dziwno pojade.

— Cemu?

— Bo mie konie bedom ciągly, a woły wiezły.

Taki jednak postrach jeszcze przed nim był, że go za tę obrazę nikt nie

uderzył; owszem, popatrzeni na niego chłopci z adoracją.

I byliby go może puścili, ale się każdy jeden na drugiego oglądał i na nagrodę liczyli. Spodziewali się, że każdy coś dostanie. Bandą też na wóz siedli.

A Sobek Jaworcarz, ledwie ruszyli, zaraz im zaśpiewał na poczekaniu:

Oćkało mie costi ode nóg do głowy.

Tagek musiał jechać w Nowy Targ z Harklowej!...

Wściekali się, ale go bić nie śmieli; i tak jechali, klnąc mu, a on im w śpiewkach urągał. Ale nim dojechali do Nowego Targu, już mu nic nie mówili, podziwiając wewnątrz dusz jego fantazję i geniusz poetycki. On też im przestał urągać, śpiewał, jakby nikogo przy nim nie było:

Ani tak nie idzie austrijacki Dunaj,

Jak se hodziel drógom Jaworcarzów śuhaj!

Ani sie tak gwiazdy na niebie nie świcom,
Jak on patrzy śmiało popod siubienicom!...

— Ej miły mocny Boże! — myśleli
chłopi — Juz on wej nieborok sam sie
pod siubienicom widzi!...

I byliby go puścili, bo im samym
krzywdy nigdy żadnej nie zrobił, ale się
spodziewali choć po dwa cwancygiery za
niego w urzędzie dostać.

A choć o chłopie, który go zdradził
myśleli, że »psia wiara«, zazdrościli mu
jednak dwudziestu dukatów i żalowali, że
to nie do nich Pan Bóg Sobka przy-
wiódł, że nie u nich się, kto jest, wy-
znał.

Tacy som jest ludzie.

Przywieźli go do Nowego Targu, ode-
brali go w urzędzie, do Nowego Sącza
posłali. No i dobrze nie bardzo, do-
stał Sobek Jaworcarz dwadzieścia lat kry-
minału.

Bo jak tam jedno do drugiego, tu pokradł, tam pobił, karczmę spalił, wyszło jedno za drugim. Jak mu wzieni wycytować: co i ka, widziało się, że do wiecora nie skońcom. Telo tego bęło.

No i dostał Sobek dwadzieścia lat kryminału. Jeszcze i to ludzie mówili: nie najgorzej — bo mógł dostać dwadzieścia dwa, albo i trzy. Ale w pierwszym dniu, czy ci powiedzą dwadzieścia lat, czy dwadzieścia trzy, to tam już wielkiej różnicy nie robi. Choćby ci i pięćdziesiąt lat powiedzieli. Tylko jak ci wsują na całe życie — ę, to już źle. Chłop miał czasem sześćdziesiąt lat, powiedzieli mu: będziesz dwadzieścia lat siedział — ej, to się ta prawda w głowę podrapał, no, ale ta jeszcze było, jako było. Ale dożywotni areszt — o, to już cała bięda. Choćbyś do osiemdziesięci roków miał, kiedy ci powiedzą: na całe życie — to

tak, jakby ci na miejscu głowę w trumnę wtusili.

A Sobkowi było dopiero trzydzieści lat, na to se myślał: Dyc hojbyk i nie uciók, to ta jesce taki nostarsy nie wyńde.

Ale on nie wąpił o sobie.

Zamknęli go we Wiśnickim Zamku.

Ej! Wiśnic!

»Koślowie, Koślowiel uzyliście dobra!

Teroz sie wam świcom na Wiśnicu ziobra!« —

dobrze jest powiedziane, bo kogo tam zaparli, choćby był masny, jak niedźwiedz w jesieni, mógł se rachować palcem zebra: jedno, dwa, trzi, kielo ik ta miał. Nie zmylił sie. Matka ci hań mléka na miske nie nalała, ani grul z omastom nie wsuła.

Ale Sobek se nie markocił. Wiśnic nie Orawski Zamek, a on i hań stela wyseł.

Jak zrobił? Kratę wypiłował utajonym pilnikiem i skoczył. Kielo ta leciał to leciał, ale żywy spadł.

On wiedział, że żywy doleci i to gowej zratowało. Bo to trza wiedzieć: kie chłop ufność straci, wiare do sobie, pocnie medytować, ozmyślować: przódzi kark skręci, jako ten nogę zwichnie, co śmiało przed siebie skoczy. Niema lepszych skrzydeł, jak śmiałość — z dawna starzy ludzie mawiali.

Tak też i on teraz myślał, Sobek Jaworcz. Kiedy go zamknęli w kaźni, to on sobie śpiewał:

Zamkli ci mie zamkli, wartujom mie mocki,
Nic mi haw nie trzeba, ino ciémnej nocki!

* * *

Kiedy Sobka zaparli w areszcie na Wiśniczu, dał on się zaraz poznać, kielo stoi.

Przychodzi raz ku niemu jakiś starszy

dozorca — może to było na piąty dzień, albo na szósty po przybyciu Sobkowem — z wielkim krzykiem, że Sobek kaźni nie zamiótł i porządków w niej nie zrobił, kiedy na niego wypadła kolej. Chłop był ten dozorca tak wysoki, że go więźniowie nazywali: wieża. Jeżeli Sobek pod powałę sięgał, to tenby był wnet dachu głową dojechał. Wyzywa i wyzywa, krzyczy: Sobek słuca — nic. Nakoniec kiedy mu już tego krzyku dość było, tak, jak stał, podniósł nogę, zamachnął, i pac kyrpcem w pysk urzędnika. Ani nie drgnął, tylko mu noga poszła wyżej głowy, jak na zawiasach. Telo zgrabny bół.

Urzędnik buch na ziemię i krew mu się nosem puściła. Okuli Sobka w kajdany na trzy tygodnie. Ale już więcej izby nie zamiatał i porządków w niej nie robił. Wyzwolił się.

I to mu tak zeszło w tem więzieniu: pierwszych dni kilka na poznamieniu

się z towarzyszami i obyczajem więziennym, a potem na myśleniu, kiedy mu też kajdany zdejmą, bo strasznie ciężkie i ciasne były. Przez te całe trzy tygodnie mało co w nich oko zamknął: nie dało.

Wtedy opowiadał swoim towarzyszom różne historye z życia zbójników i ze swego życia. Górale, którzy znali wiele z nich, słuchali z tą satysfakcją, z jaką się słucha znanych, a zdumiewających i podziwu godnych opowiadań. Potakiwali głowami i wypowiedzeniem wielu: »Haj, haj!« »Hej, hej!« Inni słuchali z otwartymi ustami, a sława Górali w ogólności, a Sobka szczególnie, rosła w ich duszach od dnia do dnia, od nocy do nocy. Bo Sobek umiał zawsze swoją własną osobę w słońcu imponujących, albo nadzwyczajnych czynów postawić. Przy nikim on mały nie był, nawet przy nieporównanym Janosiku nie. A najchę-

tniej opowiadał o dowodach swej siły i trwodze, jaką wzniecał, lub jak go z powodu jego rozumu, wysokiego wykształcenia, wyjątkowych talentów: podziwiano i czczono.

Opowiadał więc naprzykład, jak zimy, ciężkie zwykle dla zbójników, przepędzał. W lecie mu grało. Przespał się gdzieśbądź, w lesie, na szopie, gdzie w polanie w zlebie wreszcie jakim na mchu, albo na płasience trawiastej: ciepło było. Ale w zimie było gorzej.

Toż to zbójnicy poniewtorzy radzi się zimowali u gazdów; w rzeczy szli za pachółków służyć.

Niek cie Bóg broni takiemu pachółkowi co na despet zwyrządzać! Dałbyjse! hej! Ténby ci podziękował, coby ci trzonowe zęby drugie urosły!

Tak też i Sobek Jaworcarz poszedł był na jedną zimę do Tolfosa w Witowie za pachółka.

Jele ze to jakisi leń! — myślał Tolfos, co go przyjął. Leży ino na piecu, a robić, pytoj Boze! nie kce nic!

Tolfos był gazda hruby, ale sobie myśli: Hej, kie ty nic, to i jo nic. Ta lez! Ba!

Nie dawał ino bryję jałową owsianą — rzeke: Ta sie rusys! Ale nic, Jaworcarz na piecu leży, a owsianą bryję je; nie ruszył się.

Tolfos by był wnet innego kijem wyrzezał i z chałupy wypędził, ale się tu cośi bał trochę. Pacholek był pod powałę. I tak zeszyła zima.

Skoro przyszła wiosna, ruszył się Sobek. Jednego dnia — niema pacholka.

Tolfos orał w Bieskidzie od Orawy tłok, trójką byczkami.

Sobek przychodzi ku niemu i gwarzy: Gazdo, to wam źle idzie! Bycki wyprząc i puścić na pase na młake, hej, a pude jo — sprógować...

I poszedł. Wziął za klucz w kolcach i orali. Jeden zagon, drugi! E! Przy trzecim stracił Tolfos i czapkę, ale nie było jej czasu wziąć z pod skiby.

Wtedy się Tolfos domyślił dobrze, kogo karmił jałową bryją przez zimę. Ale już było nieskoro.

Poszedł pacholek, co za trzy byczki orał, w las, ku Orawie. Dzień, dwa mija — nic. Zapomniał Tolfos.

E, przyszli w lecie, w prawe południe. Było ich czterech. Zabrali do imentu, gdzie co było. A samego Tolfosa, choć tam baby jajczały nad nim, złapali, złali mu wrzącem sadłem goły brzuch. Ino że mu tak powiedział Sobek, kiedy odchodził: Owce mas, rznij! A owijaj się skórami, to sie wygois. To za twoje bryje!

Zbójnicy ta na wszystko mieli sposób. I już go więcej Tolfos nie widział, ani on Tolfosa. Nie był jeden drugiego ciekawy.

Inną zimę, coś we dwa lata później inaczej Sobek spędził. Zasiadł w Zakopanem pod regłami, na Buńdówkach, na mrażnicy przy Samkowych owcach. Był tam, jak w twierdzy, bo się mrażnica robiła z całych smreków ściętych, nieokrzęsanych z gałęzi. A przy nim się tam obsiadła jego kochanka, Zoślanka, ze Zakopanego.

Sobek był chłop do wszystkiego: mówił na książce, jak nic, a na gajdach grał, co cud! I ludzie go mieli strasnie za co. Kościoły były precz, to w niedziele schodzili się do Sobka tam na Buńdówki.

Izba była wielka, piec przykryli chustą i było. Sobek się oblókł w długą po pięty Zojscyną kosulę, wziął książkę do garści i mówił na niej głośno pod piecem, a ludzie za nim.

Baby klektały, aż gielcało po izbie.

Śpiewali piosneczki i pieśni nabożne z książki, a kiedy się już to nabożeństwo skończyło, to jedli i pili.

E! bo hań u Sobka nie dostał od-
pustu nikt, jak nie przyniósł gorzałki
w dzbanku, spérki, albo i masła kruźlika.

Wiedzieli już o tem wszyscy, to nieśli,
co kto miał, a szli.

Kiedy się już najedli i napili, to zaś
tańczyli.

Pierwszy zawsze wychodził ze swoją
Zoślanką Sobek; a kiedy się oni dość
unosili, Sobek siadał na ławę, brał dudy
i grał, a ludzie tańczyli.

Nieraz do wtorku to nabożeństwo do-
ciągnęło u Sobka. I niejeden gazda przy-
szedł z tego odpustu łysy do domu. Bo
Sobek nie żartował: jenoby mu tam był
który do Zoślanki zéznął, brał za hun-
cfuty za łeb i peu! ś nim w pole, a włosy
zostały w garści.

Ten się już żaden nie wracał do izby
wygwarzać, tylko szedł pomału do domu,
a macał się po łbie.

Nie było po co, bo Sobek żartów nie

miał; ale tam gniewu nie było — na drugą niedzielę przyszedł.

Na wiosnę odmierzał Sobek Zoślanca płótna na spodnice w lesie od smreka do smreka. To był ryf!

I poszedł w las.

Tak się zimował Sobek Jaworczarz choćkie choćkany.

* * *

Nakoniec go odkuli i co się nie zrobiło.

Przychodzi jeden taki młody oficerek, więźniowie właśnie na dziedzińcu byli, mur dookoła wysoki, i powiada do Sobka: Jaworczarz! Prawda to, że ty umiesz po murze biegać?

— Prowda! Cozbyk nie umiał! — odpowiada Sobek.

— Ile kroków zrobisz?

— Kielo fcem, choćby i śtyry.

- Wyskoczyłbyś na ten mur?
— Na tén? Ej nie, nie wyskocem.
— A wyleciałbyś?
— Krokami? Wylecem.

Zamyślił się oficerek chwilę, ale to młode było, ciekawe, powiada: Dasz słowo, że nie uciekniesz, jak wylecisz?

Sobek się ani nie zawahał: Dom! — powiada.

Kupa przecie ludzi koło niego stała: Lachy, Rusiny, Zagórzanie, Górale — przed tymi się pokazać, tych w dumę wzbić — a i żołnierzy było dokoła pełno.

— Słowo honoru? Wiesz, co honor? — pyta się jeszcze oficerek.

— Honor telo znacy, co honór, wiem — powiada Sobek. — Byłek u księży Pijarów w Podoleńcu cosi ze dwa roki i po łacinie mie ucyli. Miałek księdze ostać, ino sie ta cosi kańsi stało, co jek haw, hoćjek ta i tak msów dość naodprawiał

na Buńdówkak w Zokopaném. Nie ucieknem.

— No to leć!

Rozstąpili się ludzie Sobkowi, rozpędził się, skoczył na sążęń wysoko, potem raz, dwa, trzy kroki zrobił, że się tylko ludziom po oczach migło, stanął na murze.

Oniemieli ludzie z podziwu. A Sobek stał na murze i patrzył w świat.

Wszystkim biły serca w piersiach. W tej jednej chwili sto myśli leciało przez głowę skazańców. Mógł uciec. Poza murem nie pilnował nikt. Takiego latawca nie dogoniłby nikt. Mógł uciec, gdzie chciał, w góry, na Węgry, gdzie chciał. Był wolny.

Sobek stał i patrzył w świat. Był wolny. Słońce jaskrawo zapadało na niebie.

— Zeskocz! — krzyknął z dołu oficer.

Sobek obrócił się ku niemu i stał na murze.

— Słowo! — krzyczał oficer, czerwony

z niepokoju i strachu: samby był więźnia jak umyślnie wypuścił!...

— Wiem — odrzekł Sobek Jaworcarz i zeskoczył na dół pomiędzy więźniów.

Zakołysał się koło niego szmer tłumionych wykrzyków i słów.

On zaś stał pośród ludzi,* jakby zalśniony tem jaskrawem słońcem, które tam za murem za krawędź ziemi zapadało. Oficer, uspokojony i kontent, ręką go po ramieniu klepał, mówił; »Dzielny chłop! Tęgi chłop!« Ludzie pokrzykiwali z podziwu i nad cudownym czynem zręczności, i nad tem jeszcze więcej, że Sobek napowrót w więzienny dziedziniec zeskoczył; on zaś nie słyszał nic. Usłyszał dopiero te słowa:

- Dawno siedzi?
- Miesiąc.
- Wiele mu dali?
- Dwadzieścia lat.
- I nie ucik?!

Sobek obejrzał się ku mówiącemu. Mały, sietniakowaty chłop, w górnicę odziany, jaką koło Gdowa noszą, patrzył na niego blademi oczyma z wyrazem niesłuchanie wzgardliwego zdumienia; patrzył na niego, jak na człowieka, którego głupocie trzeba się aż dziwić, a którym, dla tej niezmiernej głupoty, nie można nie pogardzać. Sobek Jaworczarz zapatrzył się w oczy sietniakowatego chłopca z pod Gdowa.

Obstąpili go Górale, co na Wiśniczu siedzieli.

— Sobek! Aleś hłop!

— Tegoby i Horny Kośla nieboscyk nie zdołał!

— Ani niwtory!

— Som pon oficyr gębe ozwieźli na kwile!

— Moze ci co i podarujom z roków za tén štuke!

— Nie widział tu jesce nik nic takiego!

— Hej! Kiezby tys?!

— Som ka jest tacy ludzie, jako u nos? Co?

— Hej! Nima to, jako my, z pod hól!

— Ej! ta i u nos jest je ka drugi taki ku Sobkowi?

Otoczyli go kołem; było ich pięciu, czy sześciu, złodzieje i zbójnicy. Dumni byli z Sobka.

— Bęłaby s nos ś nim banda! — powiada jeden Kościeliszczanin zbójnik do drugiego Kościeliszczanina zbójnika.

— Ej wiera! Bęłaby!

— Jo myślał, ze u nos w Kościeliskak nolepse hłopy!

— E, ono sie i ka inéndyj trefi. Dyj i Janosik nie był z Kościelisk, ba skądśi ze Spisa.

— Wy! Kościeliscanie! A Mateje u nos w Zokopanym?! Mijałków Jendrek...

— A Nowobilski Walek? Podbrzyźni?
z Białki.

— E! W Kościeliskak..

* * *

Ciemna noc była: wszyscy spali. Oko wykół, na niebie chmury czarne, nie widać światu nic. Deszcz aż huczał, lić straszna. Czarno w kaźni, tylko Sobek widział dwoje oczu, patrzących weń, sieniakowatego chłopca z pod Gdowa. Mordowały go, gdzie się obrócił, patrzyły na niego mocne, wyraźne, uparte.

Sobek się ich wstydził; teraz się już ich i bał.

Chłop siedział w innym skrzydle, na drugim końcu gmachu, pewnie spał teraz na pryczy i oczy miał zamknięte, a one tu, przez mury i dziedzińce patrzyły w Sobkową duszę. Kurczyła się ona

i wiła pod ich promieniem, kryła się, a uciec nie mogła.

Powstawało ciało wściekłe, złe, rozżarte, zrozpaczone przeciw duszy.

Coś ty mi uczyniła?! – jęczało. — Coś ty mi uczyniła?!

Nozdrza, nozdrza, które pociągnęły już wolnego powietrza ze świata; oczy, które już poszły poza mur, w świat: jakoby zębów dostawały i gryzły i szarpały duszę Sobkową. Dwie blade, wyraźne, uparte źrenice lacha z pod Gdowa topiły się w nią coraz głębiej i głębiej.

Był tam! na murze!... Jeden skok!... Wiatr-by go nie dopędził!... Terazby już był u węgierskiej granicy.

Zdawało się Sobkowi, że mu coś śmiga koło uszu, jakby jego ciupaga własna, okręcona nad głową, puszczone w szalony pęd wirujący z siły, z ochoty, z krwi! Tam, tam, w lesie gdzieś, pod Pośrednim Wierchem, albo Dziumbirem, jak rysie

przyczajone, siedzą jego towarzysze, bracia. Długowłose ogromny Jano Sliwa z Vihodnej, Jędrek Migac z Bustryku, Józef Papież z pod Babiej Góry, Józef Stanik z Kościelisk, Wawrzek Hawraniec z Podspadów. Tam oni siedzą koło watry i śpiewają półgłosemi groźnemi na czarnodunajcką nutę zbójcki marsz:

Hej! idem w las — piórko sie mi migocel!
 Hej! idem w las — dudni ziemia, gdy kroczę!
 Ka wywinem ciupazecką — krew cérwonom wytocę!
 Ka obyrtne siekiérecką — krew mi z pod nóg
 [bulkoce!

Ciémniúska noc — ogień lasem przeświéca!
 Ciémniúska noc — złe sie złemu zaléca!
 Na polanie popod jedle — watra w lesie sie pali;
 Cy sie grzejom dziwozony — cy jom carci skrzესali?

»Ty mlady brat — ty sa s nami stowarzisl!
 Jak padnie ci — budzies cirkom ziemie gryz,
 A jak padnie — talarkami, dukotami budzies siał,
 Na kazdy dzien freirecku — kohanecku budzies
 [miał!«

Hej bratowie! — ja sa ku wam zwerbuję!
Nie płaccie mi — kohanecki leluje!
Nie płaccie mi, siostry moje — jabłonecki bielućkie!
Nie pładze mi, matko, ojce — gołąbecki siwućkie!

Nie płaccie mi — jo se ide zbijać, kraść!
Za dak mi las — zo posłanie mokwa, chraść!
Jak mi padnie talorami — dukotami bedem siał!
A jak padnie siubienicom — budzie se mnom
[wiater kwiał!

Tak oni tam śpiewają półgłosem pieśń, o której nikt nie wie, kiedy i kto ją ułożył, pieśń, od której jodły się chwieją i orły zrywają się śpiące z konarów i szumią skrzydłami w ciemności, ślepe, gniewne i przerażone. Tak śpiewają tam Sliva z Liptowa, Papież z pod Babiej Góry, Stanik z Kościelisk, Hawraniec ze Spiżu, Migac z Bustryku z Podhala — tylko im grać na kobzie niema kto, bo on, Sobek Jaworcarz, na Wiśniczu. Na Wiśniczu — on, o którym chłopi mówili: kogo jak kogo, capu dzikiego skorzej za racie

do gorzci hycis, jăko coby Jaworcarzowego Sobka mieli kie dostać!... — On, o którym dziewczki wyzdajały śpiewankę:

Zaplątał sie sokół w babioletniej sieci,
Jaworcarzów Sobuś siedem brom przeleci!
Splątały sokoły w babiém lecie skrzydła,
Jaworcarzów Sobuś nie da sie wziąć nigda!

On, o którym też dziewczki rady śpiewywały:

Śnie mój, śnie kohany, cliwo mi przez tobie,
Kie sie bez dzień cały nahodze, narobie!
Śnie mój, śnie kohany, uciekoj-ze w pole!
Idzie Sobuś z lasu, jo go od cie wole!..

W oczy mu lunęły góry, jak grad nagły na wiosnę, z za grani wydarty. Tu się upłaz zieleni, tam woda gra w stawie, tam owce beczą, bielą się, turlikami dzwonią, spiżaki, turliki, kłapacze: wszystko dźwięczy, dzwoni, rozbrzmiewa po pola-

nach. Tam juhaski śpiewają, tam juhasi,
tam któraś wyska z za wierchu: eeee —
he — heu!... tam jej któryś odpowiada
z pod turni: hoba — hop!... Tam na ko-
bzach, na gęślach, na piszczałkach wierz-
bowych, na długich, daleko brzmiących
trombitach grają — juhasi, pasterze, wo-
larze. Tu w szałasie ogień wre: chłopak
piętami drobnego krzesze, aż iskry w dach
biją. Przytupnął, zaśpiewał:

»Cy jo hłopiec nie młody?
Cy jo niémom urody?
Siwe ocka, corne brwi!
Pojdze dziewce, bo mie mgli!

Piętą w glinę ubitą, w ziem, a któraś
tam dziewczka z pod ściany, z kąta:

»A jo tobie rada mom,
Co mie pytos, to ci dom,
Cy barana, cyj koze,
Cy sie sama połoze...

Tylko iskry biją w dach, a gęśle brzęczą, jakby się w nich carci okocili!

Tam o jesieni kobiety len na boisku w szopie rafią, śpiewają długie pieśni miłosne, tak też i w zimie przy warsztacie płóciennym. Starzy gazdowie fajki kurzą, opowieści prawią, syczące w ogniu dusze czyścowe zażegnują. Wilki od lasu wyją, psy im odpowiadają z pod chałup, nagle w nocy niespodzianie hałas, ujadanie, jęk, rozpaczliwe beczenie, rozpaczliwe krzyki i nawoływania: wilki się milczkiem podkradły, psa roztargały, pod oborę podkopują. Dopiero z czym kto może: ten ze sajtą płonąca, ten z widłami żelaznemi, który z ciupagą, który z flintą, który z cepami, z czym kto może — na pomoc sąsiadowi! Bitka, psy od sąsiadów co śmielsze, wielkie liptowskie z kolczastemi obrożami, obces ku wilkom, cepy grzmią, ciupagi śmigają, już i baby ta z sajtą, ta ze szczypą smolną, ta z ka-

gankiem z drzwi, z okien świecą, tu chłop wilka widłami przebódł, w górę go podniósł i rznął o ziemię, tam wilk chłopu do gardła, a pies na nim jedzie, żre w kark, z grzbietu mięso wydziera. Staraszony, zdeptany śnieg, pobite wilki, pozagryzane psy, pokaleczonych trochę i ludzi — cicha noc gwiaździsta ponad góry, tylko znowu z daleka słychać wycie, a po chwili po chałupach znowu warsztat płócienny fycrzy i zaśpiewa która Zosia, albo Marysia:

»Salała rybecka, salała za wodom,
Ale jo nie bedem, hłopcyno, za tobom!...
Salała rybecka wodom za rybkami,
Ale jo nie bedem za Zokopianami!...« —

cieniutko, wysoko, ponętnie, aż się serce w człowieku rwie i wydziera.

Rwie się i wydziera serce w Sobku Jaworcarzu. Wolny był, wolny mógł być! Jeden skok!... I byłby tam...

Wtedy się Sobkowi Jaworczowski wydało, że mógłby skoczyć od Wiśnicza po graniczne Karpaty, od Tatr poza Liptowskie góry!... Wtedy mu się zdawało, że popłynąłby, śmignąłby przez powietrze łukiem, jak idzie łuk tęczy przez niebo... Wtedy...

Chwytał zębami kratę, począł ją gryźć. Piana z krwią poczęła mu się toczyć z pokaleczonych ust. Głową uderzył w kratę, aż mu skóra popękała na niej i włosy krwią pociekły... rękoma ją szarpał. — Takikek jako oreł haw! Zaparliście mie! — szeptał. — A jo mógek wyńść! A jo mógek uciec!...

Mógł!... mógł!...

Rozpacz wściekła, dzika, waryacka rozpacz zgięła Sobkowi krzyż w kabłąk, skróciła mu ramiona, zwęzliła palce i kraty pękły. Zaparł się, targnął — wyłamał je z okna. Wówczas osłabł na chwilę. Zdawało mu się, że mu przez

okno bez krat lecą do kaźni całe Tatry
i wszystkie chmury z nieba:

Nie płaccie mi — jo se ide zbijać, kraść!
Za dak mi las — za posłanie mokwa, chraść! —

grzmiało z wiatrem w okno.

Sobek spojrzął w dół. Wysoko było na dwa piętra, na dole kamieniami brukowany dziedziniec. Wydało mu się, że kamienie pod jego oknem ożyły — czekają żywe, spokojne. Czekają. Wzdrygnął się.

Rozpacz, tęsknota, radość, szal, poczęły się w nim łamać ze strachem. Ciało wściekłe, rozżarte przed chwilą ciało, poczęło drzeć, wstrzymywać duszę, uniewalniać ją. Sobek zawisi w oknie.

I dziw! — wszystko: góry, towarzysze, swój kraj — poczęły mu ustępować wstecz w ciemność nocną, cofać się, maleć... Zląkł się — nad wszystko się zląkł...

Wtedy blade, aż do pogardy zdziwione
oczy sietniakowatego chłopca z pod Gdowa
zaświeciły Sobkowi Jaworczarzewi wprost
w twarz. Hej!... Rzucił głową, wydźwi-
gnął się na rękę, wysunął nogi i sko-
czył. — Zabił się.

Taki honor miał.



PRZYPISKI.



- ...głowę wtusili — wgnietli.
- ...Opowiadał więc naprzykład etc... — oba opowiadania o zimowisku zbójników są na tle opowiadań Sabały.
- ...dałbyjse — dałbyś sobie.
- ...tłok — ugór.
- ...giełcało — rozlegało się.
- ...huncfuty — warkocze u chłopów od skroni.
- ...ryf — miara.
- ...prawda to, że ty umiesz po murze biegać etc... — na tle opowiadania, które słyszałem o zbójniku Józku Matei.
- ...sietniakowaty — niedorodny.
- ...Hej idem w las etc. — Marsz ten cały jest mojej kompozycji. Nuta jego jest znana w górach powszechnie, ale słów nigdy dowiedzieć się nie mogłem.
- ...rafią — obrywają nasienie lnu

O WALKU SIETNIĄKU



O WALKU SIETNIAKU

Walek Prascularz ze Zębu sietniak był. Głowę miał wielką, jak kadź, na niej włosy rzadkie i żółte, a stojące jak szczeć. Polany miał na tej głowie, bo włosy kępkami rosły, a kępkami nie. Co tam do spacerowania było, to się mogło do słonka grzać, kiedy chciało, tem więcej, że Walek kapelusza nie nosił. Może go i nigdy nie miał.

Gęba wielka, opuchła, blada, jak u topielca, oczy wyłupione na wierzch, niebieskobiałe, jak u ryby zaśniętej, wargi wywinięte, grube, obwisłe, czerwonożółte, z warg ciekło. Nos jakiś zarośnięty we środku. Pod gardłem wół; a nie to ino jeden, ale że dwa. Jeden na drugim, jak gołąbki na wiosnę.

Całe ciało pokrzywione, pokręcone, po-

garbione, połamane — nicbyś tam prostego nie uświadczył, chyba kij, co się na nim Walek podpierał. Ładny był — nie było co powiedzieć. Potwora i potwora. A jeszcze się i jąkał, ledwie krztusił.

Było mu siedm lat, pomiarkowali rodzice, co to będzie za parobek, że tęgi, i wygnali to z domu. Wrócił się. Wybili. Poszedł i znowu wrócił. Wybili znowu. Znowu poszedł i znowu wrócił. Ej, dobili tak, że czysto zdrętwiął. Kawałka skóry na nim całej nie było. Sprzecinali gałęziami het. Naprzódzi go bił ino ojciec, potem go bili ojciec i matka, za trzecim razem wraz i rodzice i obaj bracia i siostra. Bili, bili — i już się nie wrócił. Wyleżał za ogrodem pół dnia, w smreczkach pół nocy i poszedł.

Lazł, lazł, aż wyłaził, że mu gęsi dali paść. Paśł, gdzieś w Skrzypnem, potem w Podczerwiennem, w Ratułowie... Pasał,

a jak mu się co niepowiodło, bili i wypędzali.

Wędrował, aż znowu gęsi do pasienia znalazł. Nie był już taki zupełnie do niczego — ze sietniaków był najfajniejszy.

Tak wyżył dziesięć lat; już mu ich było siedmnaście.

Paś w lecie, we worek opasterzony, w zimie żebrał, w lecie i w zimie w płóciennych gaciach chodził, a nienajedzony był jeszcze nigdy. Mrzygłód był i takie było jego przeznaczenie.

Myślał on sobie różne rzeczy. Myślał: Bez co to tys to, co jo jest taki? Co jek komu zrobił i co jek winowaty, co jo je jest taki?... Bo on dobrze musiał snadź wiedzieć: jaki był.

Raz — służył on wtedy u Słodyczków w Ostryszu — widział, że się młody Słodyczka Jędrus, śliczny parobek, długo przezierał w przeziéradełku. Wziął on je potem, kiedy Jędrus wyszedł do pola,

z okna, i począł się sam sobie przyglądać Potwora jek — pomyślał i westchnął.

Była tam dziewczyna także śliczna, siostra Jędrusiowa, Agnisia. Ona pasła krowy, on gęsi. Miała ze czternaście lat. Pasterze krówscy piekli raz ziemniaki i Walek się nablżył, że mu tam przecie rzucą jaki; bo on z chałupy nie dostawał od gaździny nigdy nic, dobrze jak jeszcze na czczo nie wypędzał z chlewika rano. Podszedł ku pasterzom, było ich kilkoro, chłopcy i dziewczęta, siedzi i patrzy. To patrzy na ziemniaki, co się pieką, to na Agnisię, co je biczyskiem przewracała w węglach.

Jedli, a on patrzył i fykał. Zbliżyć się nie śmiał, siedział tak o dwa kroki od innych. Nakoniec Agnisia wyciągnęła ku niemu rękę z ziemniakiem i mówi: — Ne! — a ten się pochylił ku niej więcej, niż trzeba było, i chuchnęło mu się przy tem z gardła. Czy chciał dmuchnąć

na ziemniak zawczasu, że gorący, czy co...
A Agnisia rzuciła ziemniak i cofnęła się
w tył.

— Cos się stało? — jęknął.

— Bo ci śmierdzi z gęby, co raty! —
odpowiedziała.

Nie podniósł ziemniaka, odszedł. Zabrali
się niedługo i pasterze z krowami, on został
jeszcze. Kiedy się oddalili, zbliżył się ku
popielisku, szuka, nie znalazł nic, tylko
ten ziemniak, który Agnisia rzuciła. Pod-
niósł. W tem patrzy: idzie pies. Co zamy-
ślał, dość, że psa zawołał. Wyciąga rękę
z ziemniakiem ku niemu i woła: Na
tu! na tu! Staął pies. Wabi psa ziem-
niakiem, przywabił ku sobie. Daje mu
ziemniak niby, a chyli się ku niemu i chu-
chnął mu w nozdrza. Pies kichnął, głową
skręcił i spojrział jednym okiem na niego.

— O! to musi śmierdzieć fest! — po-
myślał Walek i zadumał się. A w za-
dumaniu opuścił rękę z ziemniakiem po

sobie i pies wyjął mu ziemniak z palców i zjadł. Dopiero Walek w złość — łap kamień ze ziemi. Pies w nogi i tyle widział jego i ziemniak, tylko się przekonał dokumentnie, że aż pies kicha.

No, już się też więcej ku nikomu z gębą nie pchał.

I tak się zrobiło, jakby zaczął gnić. Lały mu się jakieś wody z uszu, z nosa, z gęby, nawet z oczu, na głowie się porobiły bolaki, wrzody. »Walek kopy siana na polanak ustawio« — śmiały się dzieci. Po całym ciele się też wrzody pękające porobiły, cały był mokry.

Przychodzi w jedno rano Słodyczkula, gaździna, i powiada mu, a głos miała, jak to często między Podhalanki, ostry, jak bicz: Bier sie, jus nie bees paść gęsi.

— Nié?

— Mom ci dwa razyj godać? — Świ-
nęła mu nad uchem głosem, jak biczem.

Walek już dobrze wiedział, że się py-

tać dużo nie trza, bo w łeb biją, w brzuch kopią, w plecy popychają, noga, to noga, a kula drewniana, to kula. Poszedł. Idąc myślał. Juści nie bez co ine go wygnali, ino bez té rany. Hej! To ci dopiéro śmierdzieć musi!... Bo on sam to i nie tak wiele czuł zarośniętym nosem.

Idzie i wyszedł na taki brzezek nad potokiem, wysoki, turnisty a w potoku w dole kamienie nastyrmane, ostre głązy, jeden na drugim. Patrzy dookoła się — majowy był dzień, jasny. W polu robili ludzie, krzatali się, śpiewali. Wesoło było.

Niedaleko była kapliczka; Pan Jezus w niej siedział półnagi, w cierniowej koronie, pokrwawiony, i opierał brodę na ręce.

Przechodzi Walek mimo, spojrzął w kapliczkę, uwiidził Pana Jezusa.

Jego tam nie uczył paciérza nikt, ale co nie co wiedział o Panu Bogu. Wiedział i słyszał, że ludzie pacierze mawiają, mo-

dłą się, słyszał też, co nie raz o Panu Bogu mówili. Wiedział, że jest i s hrubsa jaki jest. On ludzi stworzył, Onego trza prosić i dziękować Mu, a chwalić Go, i uskarżyć Mu się można, opowiedzieć Mu jedno i drugie, a zwłaszcza strapienie, to pocieszy. Pan Bóg jest ojciec, Pan Jezus syn, ale to do wjedna za jedno.

Stanął Walek sietniak przed Panem Jezusem, patrzy na Niego i powiada:

— Bez cos tak?

I zdawało mu się, że Pan Jezus kiwnął ku niemu głową w koronie i powiada też:

-- Bez cos tak?

Widzi Walek, że On też półnagi, pokrławiony, w cierniach na głowie — i nie wiedział, kogo Pan Jezus myśli? Więc spytał się:

— Ty cy jo?

Ale Pan Jezus nic, tylko, zdawało mu się znowu, kiwnął głową w koronie.

— E, my się tu, widzemy, nie dogo-

domé wleło oba — pomyślał Walek i poszedł.

Staął nad potokiem na brzegu między krzakami — pogląda. Ogromnie wesoło w polu. Ruchu, śpiewu pełno. Idą koło niego, koło krzaków, parobek i dziewczka. On w kapeluszu na bakier z kostkami, ona z chustką na kark opadłą.

— Walek, kiez przidzies? — pyta się dziewczka.

— Jutro.

— O przijdze dziś, bo juz niémogem wytrwać.

— Przez cego? — pyta się parobek i śmieje się łotrowsko.

— Ze! — krzyknęła dziewczka i zęby mu pokazała w śmiechu wstydliwym a wyzywającym, białe i ostre jak u kuny. Znać, że jej się to tak wyrwało z piersi chcący nie chcący, co powiedziała.

Parobek ją objął ręką i przygiął nieco ku sobie; przycisnęła się ku niemu, a krok

jej zwolniał i ocieślał, jakby jej nogi kto podłamał w kolanach.

Przeszli.

Walek temu parobkowi było na imię, przypadkiem tak samo, jak i jemu, Walekowi Prascularzowi.

W krzakach siedział Walek Prascularz, jak dziki zwierz, owrzodzony, obolały, cały lepki i mokry. Chciał wyjść ku polom, właściwie bez żadnego celu, ale się wstrzymał. Onieśmielały go zielone pola i ludzie na nich. Kieby ik nie bęło, posełbyk — myślał. I pięknie byś hań wyglondał — dodało mu się w myśli. Tak czuł, że opaskudzi te pola ludziom i że możeby się i same pola zielone go wrodziły... Kto wie, może ziemię owradza, kiedy po niej stąpa?...

Wylazł na małą turniczkę nad potoczkiem, siadł, zwiesił nogi i zapatrzył się we wodę.

— Pomędzy ludzi musem nie hodzić,

bok ócwiara — myślał — s Pane Jezusem jek sie dogodać nimóg. I cos On mi poradzi? Dy je taki biédok, jako i jo. Nawet gaciskók niémo, a krew sie leje po Nim, jak se mnie boloki. Biéda sie takiemu o co wprosać, co nawet gaciskók niémo. Kie w takim odzieniu syn, to ta i ociec wielo więcéł nie bedzie miał. Zyjze se tys ta, Panie Boze, jako mozes, zyj. Ej a ty wodo? Cybyś mi tys ty nie poradziła jako w téj biédzie? Jeść sie mi fce, worek się zdar, leci se mnie, gaciska sie tys lewdo trzimiom, syćko mie boli, świerbi, całe ciało, jak w ogniu i ognite, plugastwo po mnie łązi, fce mie zywce zezreć, teros, kie jek taki, gęsi mi nik nie do paść, ej wodo, wodo, radź-ze mi co przecie w téj biédzie, ej siwa wodo, siwa...

I zesunął się przypadkiem z turni i gruch do wody z brzegu.

Kiedy oczy otworzył, myśli: niebo?!

Powała nad nim z sozrębem świetna, święci pomalowani koło ścian, on leży na miękkiej słomie na ziemi, a nad nim oczu dwoje schylonych. Pomyślał: janiół?!

Oczy siwe, jak woda w potoku, wielkie, jasne.

— Tereś — słyszy kobiecy głos bezdźwięczny. — Teresa janiółowi — pomyślał.

— Tereś, osotał sie ta?

— Patrzy, mamó — zadzwoniło nad nim z pod oczu siwych.

Pociekawiło go ta anielska mama i ten dzwonek, chce ruszyć głową — e nie, nie sposób. Ehe! — przypomniał sobie — spodek we wode... pobiétek sie...

Ujrzał nad sobą drugie dwoje oczu siwych ale w zmarszczonej oprawie. Mama janiółowa — poznał.

I spytała się go ta mama janiółowa: Hłopiec! jakoz ci? zyjes?

Chciał odpowiedzieć — e, nie dało.
Charknął tylko, zarzęził.

— Nie będzie ś niego nic! — usłyszał trzeci głos, grubszy, z kąta, i kłęb dymu zobaczył wychodzący, a potem ślina kicła na podłogę, cyknięta ze zębów.

— Janiołów ociec — pomyślał. — Fajke kurzy.

— Stasek, a coby my Komperde Jaśka zawołali, cyby mu co nie pomóg? — słyszysz bezdźwięczny głos. — On doktor na sydźko.

— Odpod z turnie — ozwał się grubszy głos — takiego nie bedzies lécył. To przywilijo śmierci.

Zrobiło się cicho w izbie; strach spadł na piersi Walkowe.

Śmierć usłyszał. Chciał krzyczeć, wołać: ratujcie mie! nie dajcie mie! — ale uwiązgło mu w gardle, zarzęził tylko.

— To przywilijo śmierci. — Powtór-

rzył grubszy głos. — Takiego lécył nie bedzies. Na wieki nie bedzie zył nik.

Siwe, jasne oczy spojrzwały z trwogą w oczy Walkowe. A jemu się przypominało i tylko się starał nie chuchnąć, nie chuchnąć, nie chuchnąć...

Usłyszał poważne cupkanie kórpców po podłodze i blisko nad nim zakołysał się dymu kłęb, ślina kicła na podłogę, cyknięta ze zębów, i po pewnej chwili ozwał się grubszy głos:

— On już zaros umre. Dajcie mu pojeść na dróge.

Obrócił wzrok, zkąd głos szedł, ale głowy ruszyć nie mógł, nic nie zobaczył.

Siwe, jasne oczy zniknęły. Chciałby je był przytrzymać... Niedługo zobaczył je znowu z innej strony koło siebie i zobaczył twarz i całą postać.

— E dy to dziewcencisko, nie janioł — pomyślał i zamroczyło go. Widział, ale

nie mógł nic uskładać w głowie, rozumiał tylko, że nie jest w niebie, że ludzie wkoło...

Obok pojawiła się starsza kobieta, jak ze mgły; zapachniała mu kapusta pod nosem.

Wysilił wzrok: starsza kobieta stała się wyraźniejszą. Klęczała przy nim na słomie i trzymała mu łyżkę z ciepłą, dywiącą kapustą przed ustami.

— Pojédz na dróge — mówiła.

— Pojédz na dróge — ozwał się grubszy głos.

— Pojédz na dróge — zadzwoniło ponad nim.

I dwoje rąk podparło mu słomę pod głowę i dźwignęło ją lekko, ostrożnie, delikatnie.

Święci świecili koło ścian, powała była świetna, sozrąb błyszczał na środku.

— Umiéro — usłyszał bezdźwięczny głos.

— To przywilijo śmierci — ozwało się jakby z bardzo daleka.

— Umar — zadzwoniło...



PRZYPISKI.

2

- ...sietniak — kretyn.
- ...opasterzony — mówi się, gdy kto jest odziany w chustę lub worek.
- ...przeziéradło — lustro.
- ...nastyrmane — sterczące ostro wielką masą.
- ...s hrubsa — z grubsza.
- ...kierz — kiedyż
- ...wrodziły sie go — brzydziły się nim.
- ...musem nie hodzić — nie powinienem chodzić.
- ...oćwiara — szkarada, potwór.
- ...boloki — wrzody.
- ...lewdo — ledwo.
- ..osotał sie — oprzytomniał.
- ...prziwilijo śmierci — przywilej śmierci. Kto z drzewa, albo ze skały spadł, drzewo go leśne przywaliło, siekierą się śmiertelnie skaleczył przy rąbaniu: tego nie leczyli, to był »przywilej śmierci«.

RSW

JAK DZIWNEGO JUHASA
ZATAŃCOWAŁO



Dziwny juhas na fujerze grał, a echo rozlegało się dolinami. Grał z Krzyżnego ku Pięciustawom i ku Pańszczycy, a rozmaite widma słuchały go radośnie.

Kiedy zagrał cieką nutę, wraz leciały mgłą osute, kiedy zabrzmiał tęższym głosem, dźwigały się ponad plosem, a kiedy się zaniósł śpiewem leciały het nad Tatrów grzbiet, gnały pod słońce, migotlęjące, porwane wiatru gibkim powiewem...

I pędziły k'niemu falą, skrzydła im się w słońcu palą, albo w gwiazdy nabijane śmigały het nad Tatów grzbiet, w gwiazdach świecące, migotlęjące, w obłoków białą wpłynione pianę...

Dziwny juhas grał z przełęczcy, echo mu po zboczach dźwięczy, pędzi, tula się w dolinę, przelata het nad Tatrów grzbiet,

gdzieś w jeziorze utopione kołysze się na wodnem szkle, przesuwa się po wodnej ćmie — echo rozdzwonione... z fujery.

Dziwny juhas oczy dźwiga, tańczące widma ściga, co lecą het nad Tatrów grzbiet — migotlejące, rozdzwonione — z fujery...

Rodem był ze Skrzypnego, zwał się Jan-tek Kudłac, do nich się nazywało do Kudłaski, co była Ludźmierzanka, matka, z pode Tetmajerowskiego dworu, a juhasował w Pańszczycy. Owce paśł.

Hej! Kiedy wyszedł w turnie!... Kiedy wziął grać!... Fajerę miał godną, długą! Widziało się, że góry słuchają, że kosodrzewina słucha, że stawek w Pańszczycy i w Pięciu Stawach stawów pięć szkli się od dźwięku. To było granie. Kiela światu byś zeseł, takiego byś drugiego nie sły-sał! Co ta Jasiak Muzyka był ku niemu! Za nic nie stał!

I one, te widma, co popod turnie sie-

działy, rozmiłowane były w tej grze i leciały, tylko zagrał, z kądem które mogło, gdzieby nie było. Mógłbyś powiedzieć: cmy do światła. To się rojem sypało ze źlebow głębokich, skrytych, z pod skał, z pod mchów nad czeluściami czarnymi owistych, z otchłani lasów prawiecznych, z prawiekuistych wód. Sypało się rojem.

Jedne gnały het od Bystrej, od Wołowca, długą smugą obłoku nad Pięć Stawów, ponad Zawory; inne gnały od Równienek z doliny, od cudownych dzikich turni Staroleśniańskiej wieży dwuszczytnej, z podmuchem ciepłym wschodniego wiatru. Szumiała niemi powietrzna wgłęb, a Dziwny juhas grał na swojej fujerze.

Że się tak zapatrywał w przestrzeń nad sobą, a nie widział wtedy nic i nie słyszał: zwano go Dziwnym, Dziwnym juhasem. Hej! Nie płacił ku niemu nic żaden muzyka świata...

Te widma, jak posprzylatowały ku niemu,

te co z dalsza, i te, co z bliższa, z Pańszczyckiej doliny, z Waksmundzkiej, z pod Miedzianego: to się brały za ręce i tańcowały w koło, hej, a on im dopiero wtedy grał! Wartoło słuchać... Rozmaite one były, a on je wszystkie znał.

Były tamoj leśne Ćmy, były tamoj Górne Gmły, były wodne Skróśświelice, były wietrzne Poświstnice, były Takie co świat złocą, były Co go kryją nocą, i były Co go druzgocą; były jasne Błękitówki, były sine Trupiogłówki, co leciały z takich stron, gdzie się mord stał, przekroczył Zgon.

Były także ciche, blade, uśmiechnięte, jak upiory, o olbrzymich martwych oczach, choć patrzyły z nich, jak orły, te, co lecą niewiadomo zkąd?!

Te krążyły mu nad głową, uśmiechały się, jak żmije, wyciągały k'niemu szyje, szyje długie, śmigłe, białe, usta blade,

półzwęglące od jakowejś żądry whitej w łona, co się w mgłach chowały.

Te krążyły ponad skały, wielkiem, ci-chem, równem stadem, wyciągając się na chmurach, jak na wielkich, giętkich pió-rach, i ziębiły świat, jak gradem.

Gdy leciało stado owe, wędły zioła podszczytowe, żółty chylił się kozłowiec — widział to Dziwny juhas.

Hej! Były-że widma wszeliniejakie, ga-niały jedne z popodkładanemi pod głowy zaplecionemi rękami, na wznak na chmu-rach leżące — inne z rękami ku niebu wyciągniętymi, grzbietem do góry, ze skrzy-dłami na wiatr, jak ptaki wielkie, z prze-paści świata.

Dzień po dniu wychodził Dziwny juhas grać, na samo Krzyżne. Już ztamtąd od południa słyhać było jego fujerę. Żeby bardzo paś, nie mógłś powiedzieć, ale że tak cudownie grał, to juhasi radzi słu-chali, i sam baca nieraz, Bartek Gapka

z Maruszyny, owce za niego nawrócił. Miał też zresztą psa, luptowiaka, Charnasia, rośłego, jak cielę, co, widziało się, ludzki rozum w głowie posiadał. Wszystko on wiedział, co z owcami zrobić, tyle tylko, że doić nieumiał. Nie potrzebował się Kudłac, Dziwny juhas, o pasienie trapić.

Więc huczały ku niemu doliny. Mógł słuchać, ile chciał. Dźwigały się posuwiste, przycichłe, a ogromne głosy z dolin, i pięły się ku niemu ku górze, z obu stron — po piargach z cieniu północnego od Pańszczycy, po jasnych uboczach i kosodrzewinie śpiewnej od południa, od słońca, ze Stawów. Dziwny juhas słuchał i grał. Bo on nie grał na żadne nuty — on się na tej fujerze niósł, jak żeby go niebo ciągnęło, jak żeby się rozpiąć chciał, jak ino widno było po niebie. Nieraz to tak dzwoniło z fujery, jak żeby od niej w koniec świata, z końców świata w nią głosy płynęły. Taki był mały, ledwo go znać

było na przełęczy z niższa, a tą fujerą swoją, zdało się, cały świat okrążył, het, het, poza Tatry. Tak, powiadali ludzie, wąż Światogłów ziemię w koło oplata. Leży on na przestrzeni, ogon w pysku trzyma, w ogonie ma kamień czerwony, rubin, wielki, jak słońce, w głowie oczy z dwóch zielonych kamieni, wielkich jak dwa miesiące, co się nazywają szmaragdy.

Na głowie ma koronę brylantową, której każdy brylant wielki jest, jak Spiska Turnia lodowa i kamienna Łomnica razem, a w pysku zęby straszne, jak zęby kołyszającej się w otchłani świata Wysokiej. Między zębami ogień biega, szczery ogień, podobny do wiekuiście płonącej taśmy piorunu. We środku ziemia. W okręgu węża.

Tak muzyką z fujery oplatał ziemię Dziwny juhas z przełęczy Krzyżnego.

Podawały mu ją smreki z wąwozów i urwisk i pustki zielone, dalekie, upłazów

i uboczy, gdzie się jedynie kozy dzikie snują, podobne do rdzawych owadów skaczących w oddali. Wielki Staw szklął się ku niemu pieśnią, której głębina progów Tatr sięgała. Tam, od rdzenia, od podwalin kamiennych, z trzonu gór podnosił się chłód niezmiennej martwoty, zastygłości trwałej, i wydobyty na powierzchnię wody dyszał ku górze, ku górze!... Chwytał on się gry, co z fujery szła, jak zimny nurt rzeczny rozpalonego potoku żelaza, co je z młotowni wyleją. I wraz rozpalona, wichrowa, słoneczna gra chłódła i poczyniała brzmieć dźwiękiem niewysłowionym, jak gdyby złote, świecące ogniem żywym gwiazdy spadające uderzały o lód pieczar wiekuiście zamarzłych.

I co się nie zrobiło! W jedno popołudnie, w niedzielę, ku końcu lipca, w upał ogromny, kiedy widma nie wzięły tańczyć koło głowy Dziwnego juhasa! Z tańca zrobił się wir. A najbardziej, najgwałtowniej,

najporywczej poczynają tańczyć te widma, nie wiadomo z kąd, co uśmiech mają upiórów. Oczy im rozplonęły, jak żagwie, z włosów się wyplatają jaszczurki w okręcie, wylatują za niemi, iskrzące, pędzą jak zgubione wśród wichru płomyki pochodni. Hej! Już bieda było wydążyć i grać. Coraz chyżej, coraz chyżej i bliżej gnają koło Dziwnego juhasa widma roztańczone. To była jego największa uciecha, to było jego życie, kiedy grał na swojej fujerze, a one, te widma, Poświstnice i Takie, co świat złocą, i Te, co go kryją nocą, i Te, co go druzgocą, leciały ku niemu z przestworów i w miarę jego gry tańcowały. Hej! był-że rad! Boć mu się przecie zdawało, że świat do nóg zczarował, a nawet było tak. Cudowna to musiała być gra, której duchy same słuchały. Cieszył się nią — sobie grał, sobie na wyżynach, na wyniesionem siodle przełęczcy, gdzie dumne wierchy gór oparły ramiona, aby spokoj-

nie olbrzymie ciała rozesać i spać w odęciu wyżyny. Hej! Sobie on grał — tam, gdzie wiatr gnąc się w szyję i łukowe skrzydła wędrownego zórawia, uniżał się ku jeziorom, orłem okrążał szczyty, i jak olbrzymi gryf o gradami mieczącej grzywie, walił się w gwiazdy i tumaniał ku ziemi. Sobie grał...

Ale teraz strach go jął zdejmować. Roztańczone widma, w szalonym okręcie około jego głowy, coraz bliżej i bliżej, coraz chyżej i bardziej porywczy wirujące, poczęły trącać sobą o jego włosy i twarz. Zdumieli się dwaj juhasi, co słuchali poniżej pod turnią. Z fujery Dziwnego juhasa wydzierały się tony podobne do wycia olodzonych skał, gdy o nie w zimie nawałnica szalonemi skrzydłami uderza. Nagle fujera przestała brzmieć. Oto porwany w wir tańca, za włosy, ramiona i ręce, Dziwny juhas, z fujerą w dłoni, kręcił się na przełęczu, zda się,

latał w powietrzu. Zdumieli się, przelekli juhasi. Kręcił się, skakał lotem, wirował, podobny do oszalałej wichrem gałęzi, którą trąba powietrzna urwie i na miejscu, rozpostartą, obraca. Kręgi robił coraz szybsze, prędsze i bardziej porywcze. Bo oto wszystkie widma, które do gry jego biegły, jak ćmy do światła, ujęły go w swój tan, w tan, który grą swoją wywoływał. A owe, blade, z uśmiechem upiorów, nie wiadomo z kąd przysłe, poczęły zeń ssać krew przyczepiając się ustami do jego twarzy, ramion i rąk, roniąc za sobą z rozkłębionych włosów płomieniste jaszczurki, jak pochodnie rozchwostywane w żagliki ogniste na wietrze. Dziwny juhas nie mógł się bronić, nie mógł się zatrzymać. Mgły dostały krzywych pazurów, błękitne obłoki sieciami szponiastemi oplatały jego ciało, ze wszech stron, ze wszystkich sfer przestrzeni spadały na niego płątowiska drapieżne wirów tanecznych, bezcielesnych

widm. Chciał się wyrwać, opierać — nie mógł. Piarg usuwał się z pod nóg, głązy stały się ślizgie, jakby je powlekł lód. Tańczył po przełęczy, wleczony przemocą, w takt muzyki, która umilkła w fujerze, a grzmiała w przestworze. Już skały ponad nim, doliny i jeziora pod nim, poczęły się kłębić w potworne koło ruchu, w chaos straszliwy. Mózg począł pękać w głowie Dziwnego juhasa, serce nie mogło wydażyć bić. Ginę! — odezwało się przed nim.

Własne widma! Własne widma! I te, i te — co przyszły — zkad?...

Wyczarowane grą, w taniec zaklęte...
we własny takt...

Nagle fujera pękła w ręku Dziwnego juhasa, a on sam zatoczył się i runął głową w dół ku Pięciu Stawom, na upłaz, z upłazu w żleb na głązy na dół, na dół, aż mózg pryskał po kantach kamiennych i krew bluzgała jak iskry z główni ciśniętej z góry.

— Is! Is! Co sie stało?! Spod! Na tén hań strone spod! — krzyknął przerażony jeden juhas do drugiego, z tych, co słuchali i patrzeli pod turnią.

— Raty! Tak, jakby go cosi zdmu-
hło! — odkrzyknął drugi przerażony.

— Wiera! Ale co? Dyj hań nik niebét
przi nim!

— Wto wié? Moze bét, ino nom sie
widzieć nie dało — odrzekł drugi.

Pomilczeli chwilę.

— Ze cozby hań mogło i być? —
ozwał się pierwszy z przestraczem.

— Złe.

Poczem obaj poczęli uciekać na dół
po piargach ku Pańszczyckim szałasom,
trzymając kapelusze w rękach, aby im nie
pospadały w koźlich susach, a z trwogi
podnosiły się im włosy na głowach.



PRZYPISKI.



- ...fujera — fujara.
- ...osute — osypane, owite.
- ...płoso — jezioro.
- ...godną — piękną, dobrą.
- ...kiela — ile.
- ...Jasiek Muzyka — I serya »Podhala«.
- ...nie płacił ku niemu nic — nic przy nim nie
znaczył.
- ...Spiska Turnia — dawniej Lodowy.
- ...na tén hań — na tamtą.
- ...wiera — istotnie zaiste.
- ...wto — kto.
- ...ze coźby — sposób mówienia.

RSW

CZĘŚĆ II
Z OPOWIADAŃ SPISANYCH
PRZEZ JĘDRZEJA SULEJĘ
Z KOŚCIELISK

1

2

DOLINA PODHAŁA DAWNIEJ

1

Drzewiej, kiedy jeszcze na całej dolinie .
popod hale, od samej Osobitej w Orawie
aż po Spizką Turnię lodową wszędy czer-
niały się ino same lasy i lasy: wtedy tu
całkiem inaczej było. Otupno i cliwo, bo
ludzie rzadko się jeszcze na niej pooskła-
dali i niekany, gdzieniegdzie dopiero zwy-
rabiali polany. Budowali chałupy z okrę-
glaków, szopy na węgielnice, wrota, za-
pory musiały być mocne. Obory okoliczne,
zamknięte dookoła, bo w usypach po po-
tokach wszędy boginek było pełno, to się
pchały, a ludziom wyrządzały strasznie.
Dokucały ig, co cud!

Nie było żartów. Wtedy za słońka mu-
sieli się ludzie zapiierać w chałupach na
noc, a za drugiego rano wyłazić z nich,
bo nie było rady! Boginki całą nie dały

noc spać nic, ino chodziły koło ścian, burzyły, a wołały: Kumoska! Kumotrze! Krowy sie wom w sople potargały! Bodom sie!... A ino by była kumoska dzwierz w sieni odparła — oho! juz je w usypie! I kto wie, kiedyby ją tamstela kto wydobył... Chłopów to się trochę obawiały, ale baby to się ich musiały wystrzegać i bały się, jak ognia.

Jak powiadali starzy ludzie, boginki siedziały w usypach, po dziurach, w potokach, w halach po żlebach, a na poziór takie były i tyle, jak ludzie. Tylko się im oczy, jak kaganki, świeciły zawsze i chodziły nagie.

Wszystkie miały długie piersi, jak worki. We dnie, kiedy była pogoda, zwychodziły z dziur, siedziały po kamieniach i hoćka, gdziebądź grzały się przy słońku; a kiedy szły, sprzewieszały piersi przez ramię — i było.

W nocy prały cyckami w potokach po

kamieniach we dwoje, we troje i we ćworo, jak kijankami praczki, aż dudniało po lesie.

Gwarzyły tak jako i ludzie. Tańczyły, śpiewały, grzyby, maliny, jagody zbierały po lasach i jadły.

Po kupie ich w usypach siedziało wraz.

Były różne: mniejsze i większe, kulawe i proste, a i dzieci miały też. Wiły se wianki z jaskiernika i nosiły na głowach. Sały krowy i owce, dojeły ludziom na pasujskach, jak ino mogły we dnie, a w nocy po sopak.

Musieli zapiérać.

Ludziom wyrządzały co cud! Jeszcze chłopom nie tak — jak był tęgi chłop, młody, to się go bały. Ale jak był stary, to brały go do tańca, ino łeb wytknął z pod strzechy, albo się gdzie ku potoku przybliżył, choć było i we dnie.

Wtedy żeby sie była wydana baba w jeden warkocz zapletła, albo dziewczka we dwa: je, to już była ich. Bięda ją było

chłopom i cepami obronić. Musiały się strzyc.

Weredy najbardziej napastowały chore baby w połogu. Przez sześć tyżni ani rusz za próg nie śmiała żadna, bo boginki zaraz przysiały. I chłop przez ten czas musiał być w chałupie zawsze we dnie, w nocy, bo kiedy się te uwzięły na kogo, bieda się było i odegnać. Tak było z Byrtusiem, co bacą w Miętusiej bywał. Temu i fujerę długą ślicznego głosu, jeszcze po dziadku zbójniku, ukradły, i żonę porwać chciały i dziecko odmieniły, ledwie je odebrano. Idzie raz żona jego, Zośka, z Miętusiej do domu, z obońką z mlekiem na plecach, a tu koło domu obkoczą ją boginki: »Zośka! Zocha! Zołna! Co nom to niesies?!« i dalej do baby. Byrtuska była młoda, tęga, widzi, że niepeć, broni się, jak może — darmo, przewróciły ją na ziemię. Łap za

warkocze i za nogi, wleką ku usypom nad potokiem. Byrtuśka w krzyk. Szczęściem usłyszał Wojtek Wojdyła, co niedaleko młócił, a jego nie trza było dużo pytać, ino co gdzie usłyszał; skoczył z cepami, zobaczył, co się święci, dalej za boginkami. Konia jakiegoś na pastwisku po drodze dopadł, jedzie. Szczęściem jedna z boginek była kulawa i tę dojechał. Chwycił w garście, zakręcił ponad głową, ta w prośby, że wyratuje Byrtuśkę. I woła:

Cudza zonka

Chyć sie zwonka!

Byrtuśka usłyszała, chwytala się rękami trawy po drodze, aż trafiła na dzwonki, co rosły na miedzy i boginki ją puściły. Bo takie było ich prawo: jak się kobieta, którą porwały, kwiatków,

dzwonekami zwanych, chwyciła, musiały ją puścić.

Mściły się potem na Byrtusiach. Miał on taki zwyczaj, że jak przyszedł z hali do domu, wychodził w nocy na dach z fujerą i grywał. Raz się zdrzemnął na dachu, fujerę z rąk wypuścił, ta się stulała na dół, a boginki już czatowały. Łap i uciekły. »Widziało się, co się cysto wywściekały przy tej fujerze«. Latały nocami po wsi, wrywały mech ze ścian i trąbiły przez dziury ludziom do izby. A najbardziej Byrtusiowi koło domu, a wołały: »Nie tak, Byrtuś, nie tak, ba se tak: buuu, prrru, prrru, prrru, buuuu« — że go to niby uczą, jak ma grać, a on był muzyka sławny. Nakoniec raz, kiedy Byrtusiowie w polu dziecko na chwileczkę odeszli, ukradły je, a podstawily swoje. Był dopiero lament w chałupie. Na szczęście stara jedna baba poradziła

to odmienione dziecko wynieść na pole i bić, co tylko wlezie. Kiedy zaczęło bardzo wrzeszczeć, boginki odniosły ukradzione. To był jedyny sposób w takim razie. I wtedy, kiedy przyszły z tem dzieckiem, a Byrtuś zamknął wrota i chciał je zbić, tak się stawiły, że dopiero trzeba było na nie buhaja spuścić, co strasznie bódł.

Każmikowi Płazie, co browar w Chochołowie miał, żyć spokojnie nie dawały. Aż dopiero, kiedy się umyślnie przygotowaniem piwem tak popiły, że się ledwie ruszać mogły, wtedy je Kaźmik ogniem poparzył i wyniosły się całkiem z tamtych stron.

Czapeczki czerwone nosiły. Jedna przysła chłopu w nocy ziemniaki kraść, które się w tamtej stronie, ku Czarnemu Dunajcowi, nazywają rzepą. Dogonił ją chłop i zdarł jej czapeczkę z głowy. To potem

w nocy podchodziła mu pod dom i żałośliwie wołała:

»Chłopecku, chłopecku, wróć mojom copeckie,
Nie bedem jus chodzić na twojom rzepecke«. —

Płanietniki wtedy choć gdzie spadały z chmurami, ale miała się z pyszna ta polana, na której mu co zwyrządali. Hej, kiedy wzięły takiego nazad chmury w górę, a stanął nad polaną: to tak silił gradem, że ziemię zabrało do krzty.

Pieniądze się choć gdzie po reglach na świńskich korytach przesuszały, ale tam nieleciał nikt brać, choć widział, bo przy każdym stał pan z żelaznymi widłami i mieszał w nich, albo czarny baran z rogami. Hej! ten by ci dał!...

Co się nie zdarzyło Wojtkowi Pytkowskiemu z Międzyczerwiennego. Powiedział mu Jasiek Tyrała z Kościelisk, że się pieniądze przesuszają nad rąbaniskiem w Si-

wej, że widział, ale się bał iść, bo czarny baran przy nich stoi, okrutnie wielki. Wojtek był chłop mocny i podufały, powiada, że baran ku niemu nie płaci nic. To było wieczór, mieli iść rano ku tym pieniądzom.

Wojtek chodzi w nocy po izbie, tęgi, co cud. Poszli rano. Ej, nie wrócił już Wojtek. Przystąpił śmiało ku baranowi, kiedy go ten durknie rogami! Doraz z Wojtka wnętrzuości wypadły, a Tyrała na drzewo, bo on ta i tak obdalno i obwysno stał; bał się, ostrożny był. I pieniądze wjechały w te razy z korytem w ziemię, a baran za niemi. Po chwili ośmielił się Tyrała z drzewa zleść, próbuje Wojtka obaczyć — — e, darmo go obacował, umarty Wojtek był. Usprzekopyrtał sie ino raz. Uciekł Tyrała do domu, ale go przecie ciekawość parła, czy się też te pieniądze jeszcze kiedy suszyć będą? I suszyły się, ale przy nich stał pan czarno ubrany z wi-

dłami. Dyabeł musiał być, co u niego baran służył. Tak było.

Otwierały się turnie, piwnice pełne złota i srebra, w innych stało wojsko, konie — — widzieli to ludzie, bywali niejedni w nich i wierzyli w to. Bo to prawda była — gwarzyli.

Wodziło ludzi po halach i mamiło nie-raz całe nocy. Były siodliska, były strzigonie, co krew z ludzi we spaniu ssały. Widywali śmierci tańczące po lasach i chodzące, a nawet i tańczyli z niemi! Ale niebardzo był rad ten, kogo one między się do tańca wzięły, bo nie tyko czy-
sto kerpce zdarł, jak był obuty, ale i portki na fafręgi potargał, a rano mało żywy przylazł do chałupy. Najgorzej było temu, kto boskiem był, bo pozbijał czysto pazdury z niemi po pniakach i korzeniach w lesie.

Zawsze też dali ludzie pozór za niemi, bo z takiego tańca w którą stronę poszły,

tam był niedługo umarły; to było pewne, jak amen w kościele. A było ich trzy na całą podhalańską okolicę. Te trzy widywali wszędy, w Polanach, w Zakopaném, na Ustupie, za Sicha, w Zębie, w Skrzypném, aż w Ratułowie.

Chodzili też wtedy i siwi dziadkowie jacyś, ale ci najwięcej szli w hałach po szałasach pomiędzy baców i juhasów. Ale na którym szałasie z takim dziadkiem nieobeszli się tak, jak się przynależy juhasi, albo i bąca: e, mieli się z pyszna...

Urywały się najwyższe turnie i całe doliny wraz z juhasami zasypywało...



PRZYPISKI.

②

- ...drzewiej — dawniej.
- ...otupno — straszno.
- ...niekany — tu i owdzie, gdzie nigdzie.
- ...węgielnice — trójkąt ciesielski.
- ...obory okoliczne — obejście gospodarskie zamknięte.
- ...wyrządzały — robiły na złość.
- ..obaczyć — oprzytomnić, ocucić.
- ...usprzekopyrtał się ino raz — umarł od razu.
- ...siodliska, strzigonie — upiory.

RSW

JAK TAŃCZYŁY ŚMIERCI
NA KULOWEJ DOLINIE

1

2

3

Było to w jesieni w same Matke Boskom, hej, rózańcowom; pogody i ciepło co cud! Wybroł sie w cas przed raniem, bo dopiero piérsy ros kohut zapioł, Maciek Pokusa Pudras z Polon na odpust do Ludźmierza. Idzie, prziseł nad Dutkowom w Zubsuchém na Kulowe doline i myśli se:

Jesce wcas! Tu témi wierchami w nocy otupno iść samemu, bo tu po tej dolinie strasnie ludzi strasy i momi, mógbyk jesce zabłądzić! Siedne kany na kwile, odpocne, i pocekem zakiel weźnie świ-tać; tu z tela, rzeke, mom casu dość zojść do Ludźmierza. Hej!...

Niebyło tak ka dobrze sieść na ziemi, ale nieprec była przy drodze kaplica dre-

wniano, poseł do niej, wloz i siod, zakurzył fajke i siedzi a myśli:

Dobrzek zrobiel, zek tu wlos: bo jak pudzie ku mnie wilk z przodku, to mom krzemien, krzesiwo, to bede krzesol ogien we drzwierek, i nie pudzie — a ze zadku i z bokow deski... Strasok tyz tu niepudzie, bo tu jest Bóg na krzizu, bedzie sie go bol. A jakby sie pchol, to kie zlapie krziz do gorzci, to bede walel nim po lbie jak djabli — musi odeńc!

Siedzi tak, kurzi fajke a myśli; niedlugo patrzy, od Cichego drogom idzie baba w bielutkiem prześcieradle odzioto do samej ziemie; idzie wprost ku kaplicy... Dobrze ze kie idzies, pomysloł se, nie bedzie nos tak cliwo. Jakes jesce jako niestaro, to przedzie pierwej. Prowda, nima miejsca w kaplicy, ale by my sie ta sulli hoc jakotako, hej... Patrzy: baba sie prziblizo, ale rośnie, coros, cym blizej kaplice, to wiekso i bielso, i urosła

telo, jak smrek. Pudras widzi, ze to nie baba, ba jakosi łuna, zhycieł zawcasu ze ściany krziz i stanon ś nim gotowy do bitki, jakby sie pchała do kaplice; ale baba nie dosła, jeno na pośrodek doliny stanena i zawyskała, ji stoi...

O, niedługo idzie od Dzianisa drugo; za nim hnet przisła od Ratułowa i trzecio; porosły i té dwie znova na tele jak i ta; uwitały sie, uboskały, i dalej w koło jedna za drugą, tońcyc z bójceckiego z kossami, a pokrzikiwać »Chebe, cheb!!!« a śpiewać:

My siostry śmiercicki,
Bez matki rodzone:
Dusić noród lucki,
Przez Boga stworzone.,.
Hoba, hup!...

Pudras jaz zielenioł od strachu; niewiem, cy by był potrafiel krzizem bić!
Hej, jele ta niesły ku niemu, ino koło

kaplice wkoło sie nosiły do samego rania.

Kohuty u Kulów i na Dutkówce zaczęły pioć, na dodnia, te depiéro wtedej przestały i gwarzom:

Jo mom daleko iść, bo jaz na Sichle, powiadio jedna, tam musem jedno stare babsko przegnać bez bic!... Jele mi jej troche zol, bo mo troje dzieci: bedom płakać — a chłopa nimo.

To, to, to! — powiadio drugo — Dyc sie na starość mogła nieprzespować!... Juści tys: ba! Kie chłopa nimo... Jo wcora w Ratułowie matke siedmiorga dzieci, zarzła: płakały; ale jo nic!... Przisiadłak babe i dusięła... Niepomogło wiera nic. Swojek zrobięła... A dziś idem w Polany, tys po babe; ale za tom nie bedzie płakoł nik, bo ino mo jednego syna zbójnika... hej!...

— Jo ta juz ino z temi brzidosiami chłopiskami muse sie babrać wse — po-

wiado trzecio. — Dziś idem nieprec, bo ino tu do Słodyckow pò jednego, ale tego muse obiesić, bo je strąśnie twardy. Ale mom casu dość uporać sie ś nim, bo dopięro po połedniu.

Ubośkały sie, bo tej za Siéchłę strąśnie pilno było i posły dwie, a jedna została: przisała, zawiesieła se kose na kaplicy, siadła na brzysku i gwarzi se sama do sobie:

E cos ta im!... Z babami to nima telej roboty... poharcy, poharcy i jus po niej, ale chłop! Tym fajcyskiem przejdzony cały — tén sie siepie...

Usiedziała na kwile, wziena kose i posła pomału ku Słodyckom, kie sie juz dobrze ozwidnieło, a Pudras za niemi kieniekie du domu, bo sie mu juz i odpustu odniekciało, tak go przejeny.

W drugi dzień słychno: w Polanak na Groniu umarła staro Janickula, za Siéchłem Budzowa Maryna, co dawno za

chłopa po zbóju chodziła i w Małolące bacowała. Na drugi dzień na Butorowie na Gubałówce krzyc, ze sie Jasiak z Olice od Słodycków na Półkówce u smreka obiesień.

No widzisz!... — pomyśleł se Pudras — dobrze, ze o mnie w kaplicy niewiedziały. Ej, raty! raty!...



PRZYPISKI.



...otupno — straszno.

...za kiel — nim.

...tu z tela — ztąd.

...niebedzie nos cliwo — niebędzie nam markotno,
smutno.

...sulli — tulnęli.

...telo — taka wielka.

...łuna — widmo, strach.

...ubośkały sie — ucałowały się.

...wse — zawsze.

...kohuty — koguty.

...kieniekie — kiedy nie kiedy; tu: chyłkiem.



1

JAK ZROBIĆ
SOBANEK Z PŁANIETNIKIEM



.



W Zakopaném ros w same zbiórki
owsiane stanéna humura corno nad Gład-
kom i siéli gradem, co cud. Sobanek
mlél we młynie pod Łązkem u Sobco-
ków, co hej; jaz mąka pachła daleko od
jego młyna na droge, ku samém Wyz-
dzielniką. E, bo ta Sobanek był študer!
strzelec, muzyka. O hej! Miele, a poziéro
nad Gładkom. Raty Boskie! Jak tak pu-
dzie dłuzej, to zabiere cysto do krzty
Wałowe Góre i Gładkom, nima śpasów!...
Jele niedługo przestało. Ku wieczorowi
poceno sie ozwłócić, ale wiater był zi-
mny.

Wyżroł. Ka sie wzieno, tam sie wzieno,
przed progem hłopcysko jakiesi niezna-
jome. Odziote ino w potarganej kami-
zelce, w gaciskak. Z gołą głowom i bo-

skem. Mokrutkie, jak mys. Ślizgo sie i utyko po krupak, bo i tu gradem dostało. Trzęsie sie i sceko zębami od zimna. Dygoce całe skrzywione.

— Zje pojdze weredo do izby, bo umarznies! Zagrzój sie! — Hej, i wleźli.

W izbie było ciepło, na nolepie pod kominem była zagrzebiono w popiele watra. Sobanek łapiel pogrzybacke i ozgrzób węgle olsynowe jarkie; posadziel dziada ku nim na nolepe — pado: niegze sie ta grzeje.

— E, cyjześ nieboze?... E, skądześ? — pyto sie.

To nic! Ino sceko zębami a patrzy do niego. Dygoce i trzęsie sie od zimna.

— Déj sie ty tu ozgodos, ino sie zagrzejes! — myśli se Sobek. Poseł, nabroł zo pieca drew i nawalél na watre. — No grzėje sie teros! A pote bedziemé godać! Hej.

Chłopcysko sie grzeje, pcho ręce i nogi

w piec; ale kamizelka i gacie zamiast się osuszać przy ogniu, to coros barzěj mownie, i z kazdego strzępka pusco się ciureckem woda... Ogień na nolepie załoło, cysto zgos, bo się plugastwo coros barzěj pchało w piec, niby ze się grzeje... Potocki wody puscajom się po dylak, od pieca ku dźwiérzom... Sobek patrzy:

— Zje kis to djabli?!

Łap za łeb i peu ś nim w pole, jaz się pod pud do burtnice ztulało. Tam woda z koła chlusce zimno, to siadło w niej i wyscérzo zęby do Sobka, śmieje się!...

— Hehe!... Tu mi strąśnie dobrze — gwarzi — Jeno byk jod.

— To jeno siedź! — pado Sobek — Jele się wystrzégój koła, coby cie nie chykrło...

Tén się przipatrzył na koło i hip w korcówki, przejehoł na nim do okoła. Wyskocył, otrzepoł się z wody, wzion

rękom za ramie w palecznym kole i cały młyn zastawił.

— Je djabliści w garle! — pomyślał se Sobek — Tobie widze ani młyn nie zrobi nic! To ino siedź!...

Poseł na brzyzek du domu, odłomił moskola więkse pół, wzion bryndze kruk, prziniós i doł.

— No jédz — powiado — a siedź, kie tam ci tak dobrze.

Tén wzion, uprzipatrzował sie moskowi i bryndzy ze sydźkik stron, sprógowoł: — »Hm, hm, hm!... Owsiany! po....« Wzion i zjod. A bryndzy to sie nimóg nadziwować: »Kalpus! Kalpus!...« Ale dopod i zjod tyz odrazu i gwarzi:

Wy ta tego mocie dość, bo jaz trzi dziéski na izbie, jo ta wiem... Docie mi jesce?... Je docie, docie! Jo wiem. Ale hań za wodom Kunda mo jesce więcéł, jako wy! bo jaz štiry dziéski w kómorze. Je, jo hań niepude, bo ona nie do...

To baba zło!... Ona hań mo różne ziela i zwónek taki jakisi, co jo sie nieroz cofnąć musioł, kie zacéna na nim zbyrceć i zielami kadzić... Jo hań niepude, ale kieby jej to wto ukrod!... Widzielibyście! taby sie miała s pysna; do cysta byk jom hań zamulél!...

— Ehe!... Tošto ty, co gradami rządzis! — pomyśloł se Sobek, ale nie pedzioł nic:

Pockojze, jo cie tu wryktuje pomału, ale teraz wyrządzoł ci niebede.

Kazdy dzień przinosisiel bryndze, słodkiego mléka w gornecku z domu, molskóla; płanietnik jod, a śmioł sie som sobie.

Siedzioł u niego całe dwa tyźnie. Jak była pogoda, to całe dnié i nocy mąciél wode w burtnicy pod kołem, a jak był désc, to siedzioł cicho i śmioł sie... Ino telo Sobkowi zawse pedzioł naprzód

i dzień »ze jutro będzie dęsc!« I był. Niescyganiel nigda.

Ku końcu ozbuchał sie strasznie. Zacon juz i cekanom we młynie wyrządzać i na dziewczki różnie brzydźko wołać, bo on wiedziol o sydzkim, co ta ka wtoro miała s kim.

W jedne noc jakisi był taki, jak głupi; popod koła i po całym młynie wydziwiol strasznie i Sobka juz cysto omierznon. Bo sie go juz i cekani boli, i dokucoł wsędej.

— Kieście juz djabli weznom kany z tela!... — Myśli se Sobek — Juz tego dość!... Ale niegodo nic, ino poziéro noń, co będzie robiel, kie tak głupie...

Ku północy miesiącek pięknie wysel i świeci. Tén przisel do izby, był kawolek świńskiej skóry na kerpce pod oknem na ławie, wzion ciho pod pazuche i poseł w pole. W burtnicy wyrwoł kensi gwózdź, dratnoł, wzion i poseł ku wodzie, siod na

skale i zacon tom skórom owijać nogi, a syć cosi ś niej tém gwoździem.

Sobek doł pozior za nim; wysał po cihutku ze młynna i na racku poza brzéski olsynkami — co tys ta robi?... Wyziéro. Tén siedzi na skale nad wodom, naciągo skóre zębami, to zaś mierzo na nogi, a poziéro w góre na miesiącek i gwarzi:

— Świéc! miesiącku! świéc! bo se butki syjem...

Sobek napatrzył sie mu dość! Wzion skale, kie wymierzo w plecy!

— Jecie djabli wzieni! — tén pado — Nieświécielbyk, a nie biel sie! Joby se sładno usył buty i po ćmie. Wiés?!...

Sobek poseł cihó nazod do młynna, a tén znowa kieniekie prziseł za nim i gwarzi:

Jo tu juz niedługo bede u wos młynnorzu. Pude stąd, bo mie tam juz wołajom moji. Jele se dojcie pozior wse. Jak ino uwidzicie, ze pudzie corno hmura od



JAK ZROBIŁ
SOBANEK Z PŁANIETNIKIEM

Sobek widzi, że nieśpas, że to ta hmura sama, co mu tén padoł o niej kiesi tu; zastawił młyn, co thu polecioł na joz i wode odstawił het, wzion i obrócił się do Kundy na Łązek: bo wto wie — pado — co bedzie? i godo jój o tym. Kunda łapięła co thu spi-zowy zwónek świencony i ziele, położyła na wągłe ognia na miske, wysła do pola i kadzi, a zbércy na zwonku do trzeciego razu...

Hmura stanéna naros!... I grzmiec i łyskać się przestało troche, ino sumi w niej i hucy co raty! Jak kieby się cały Giewont obracoł w niéj.

Powicher ros, to zaś drugi ros wiater przichodzi od niej zimny a strasny, co ludzie na świecie! Kunda nic ino jednom rękóm na krziz zwonkem zbércy i przezegnuje hmure, a w drugiej tak samo na krziz macho miskóm w powietrze, a poduchuje wągłe, coby się jarzyły...

Ziele trzescy, poli sie, a dym ś niego
wiatr niesie prosto w hmury.

Ręce juz Kundzie zacynajom cierpnać,
a hmursko nic, ino stoi. Casem powi-
cher przileci od niej taki mocny, co cy-
sto kce ludzi na ziem sprzekopyrtować!...
Ale Kunda nic, jeno stoi na swoim placu,
a zwoni i kadzi. Casem jej powicher spo-
dnice i nadołek na som wiérk głowy za-
ruci!... Ale u Kundy dziś wstydu nima,
bo widzi, ze niepeć!

Wystoli tak do śródwiecerz. Dopięro
tén s hmury woło:

- Puść mie!... Niezartuj!...
- Niepusce!... Ani na col...
- Puść mie tak, jak bez recice!...
- Niepusce...
- Tak jak bez przetak!...
- Nic!...

— Zlutuj sie Kunda, puść mie, nieg
przeńde, i hoć telo ino jak bez sito
pusce!...

— Ani na tylec noza niepusce!... Ani tyćko!... Cofnij sie nazod i idź skądś prziseł!...

— Nimoge! — powiada płanietnik — i jak mie jesce dłużej tak trzimać be-dzies, to pukne.

— Idź nad hole i puknij hań, jak cie juz tak gniecie. Ino ludziom nierób de-spetu zodnego!... I przestała zbérceć.

Natykmiost hmura sie ruszyła i poseł nad hole i hań zesuło gradami tak, co cud!...

Wtej oberwoł sie Skupniów Upłoz i uwiezło sie go pól do Jaworzinki. Wtej sie utworzyły po halak stawy i jeziora, a po graniak wsędej poobruwała sie ziem i porobiły sie takie wielgie okopy i przikopy długie. A krupy gradu po całyk holak leżały miejscami do wiesny.

Niebyło śpasów!... Kciały ludzi wody po wsiak dołu pozabiérac; tak z hol du-dały sydzkiemi źlebami i potokami.



PRZYPISKI.



- ...ku Wydzielniką — forma czasem używana, zamiast: *om.*
- ...gradem dostało — osiągnęło.
- ...dziada — pogardliwe określenie.
- ...pud — osada kamieni młyńskich.
- ...burtnica — buda nad kołem.
- ...korcówki — skrzydła biorące wodę.
- ...w palecznym kole — koło nabite kółkami.
- ...moskola — placka owsianego.
- ...kalpus — niewiadome mi znaczenie.
- ...cekanom — ludziom czekającym kolei we młynie.
- ...śladno — dobrze, łatwo, »i tak«.
- ...kieniekie — w tem znaczeniu: po chwili.
- ...Poromina — rzadka forma zamiast Poronin.
- ...joz — **tama**, jaz.
- ...odroście — odwróćcie wodę do łożyska.
- ...przipiérchnon — przyprószył.
- ...kiesi tu — kiedyś tu.
- ...nodołek — spód koszuli z grubszego płótna
- ...niepeć — niebezpieczeństwo.
- ...recice — rzadkie sito.

- ...pukne — pękne.
...despet — na złość, szkoda.
...zesuło — obsypało.
...wtej — wtedy.
...dołu — dolinami, w dole, niżej.
...dudały — lały się.
...żlebami — korytami skalnymi.

RSO

SPIS RZECZY.



Str.

CZEŚĆ I. — NOWELE.

O Bartku Gronikowskim raubszycu	3
Jak umarł Jakób Zych	45
Orlice	67
Sobek Jaworcarz jaki honor miał	123
O Walku sietniaku	163
Jak Dziwnego juhasa zatańcowało	183

CZEŚĆ II.

Z OPOWIADAŃ SPISANYCH PRZEZ JĘDRZEJA SULEJĘ Z KOŚCIELISK

Dolina Podhala dawniej	201
Jak tańczyły śmierci na Kulowej dolinie	215
Jak zrobił Sobanek z płanietnikiem	225



1



1
2
3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13



1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83
84
85
86
87
88
89
90
91
92
93
94
95
96
97
98
99
100